

Bib. Ossolineum
1950K 314.

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII Warszawa, dn. 2 kwietnia 1950 r. Nr 13 (244)

ADAM POLEWKA

DOBRA MARTWEJ RĘKI

Jeżeli nie najjastrawszym, to w każdym razie jednym z najbardziej jaskrawych przykładów anachronizmu historycznego, jakim są obszar-niczko-feudalne przeżytki kościelne w Polsce Ludowej, są tak zwane „dobra martwej ręki” w województwie krakowskim. „Dobra martwej ręki”, jak wiadomo, są to majątki, które duchowieństwo nabywało przeważnie na mocy testamentów, sporządzanych na łożu śmierci, przeto i własność te nazywano na Zachodzie „Proprieté de la main-morte”, „Be-sitz der toden Hand” lud., a u nas dokładnie tak samo: właśnie „dobra martwej ręki”. Te transakcje między umierającymi wiernymi, a duchowieństwem były, jak pisze znany historyk Tadeusz Korzon, „czynione gwoili odpuszczenia grzechów lub stokratnej nagrody w niebiosach, co uważano za dobry interes handlowy, określając testatorów na rzecz kościoła jako mądrych kupców, którzy chcą kupić na ziemi to, co mogą posiadać w niebie (tanganum prudentes negotiatores marcari volentes in terra, non quod in Coelo possideant). Ten dobry interes (używam określenia Tadeusza Korzona) nie obywał się bez specjalnie opracowanych metod zachęcania wiernych do zapisów testamentowych. Metody te rozszkłała odnośnie zakonu Jezuitów słynna książka Zahorowskiego, „Monitor sancta Societatis Jesu” wydana na początku XVIII wieku. W dziele swym pt. „Stan oświecenia w Polsce w XVIII-ym wieku” ksiądz Hugo Kollataj, jeden z twórców Konstytucji 3-Majowej, podaje zabawny fakt ilustrujący przebieg metody pozyskiwania testatorów przez kler, zwłaszcza klasztorny. Naturalnie, celowali w tym jezuiti. Oni to właśnie zastawiali sieci na bogatą i szlisterzowaną bigotkę i wdowę, kasztelanową Frlęgową z Tęczynka pod Krakowem. Objawczy nad nią duchową opiekę, rzadzili się w jej do-brach jak szare gęsi, a w zamian za uległość i zżyłość w stosunku do zakonu jezuitów, przybiecali jej

ułatwić bezpośredni kontakt ze świętym Alojzym i świętym Stanisławem Kostką. Obaj wymienieni święci zjawili się najwne niewieście w ziemskiej postaci i początkowo bardzo niebiańsko oficjalni z czasem zaczęli zachowywać się familiarnie, że nie tylko zaszadali do sieni uczy z bogatą wdową, ale nawet łaskawie z nią przy dźwięku muzyki, oczywiście niebiańskiej, piasali do późnej nocy. Na nieszczęście mieli jezuitów groźnego konkurenta w postaci zakonu ojców karmelitów bosych, zamieszkałych w pobliskiej eremie. Aby jezuitom popuść szyki, jeden z braciaków zakonu karmelitów wszedł w porozumienie ze służbą kasztelanowej i w umówiony wieczór zjawili się w zamkowych komnatach przebrani za świętego Piotra, odbierając od służby i kasztelanowej hold, należny niebieskiemu klucznikowi. Wszedłszy na salę biesiadną, przykładnie obili kluczami obu konkurencyjnych świętych i zdemaskował oszustów. Wdzięczna kasztelanowa miała majątek zapisać na fundację klasztoru ojców karmelitów w Czerny koło Krzeszowic. Tak twierdził ks. Hugo Kollataj, a ja dodam „si non e vero e ben trovato”.

Ilościowe i jakościowe przeżytki feudalizmu w województwie krakowskim mają bogate i charakterystyczne korzenie historyczne. Biskupstwo krakowskie, mające dziś nazwę Kurii Książęco-metropolitalnej, rozciągało się za czasów Polski przedrozbiorowej 50 mil wszęch i wzdłuż. Obejmowało ono prawie całą Małopolskę ówczesną tj. województwa: krakowskie, kaniowskie i lubelskie, znacz-na część Śląska, księstwa Oświęcim, Zator i Siewierz, Spisz i państwo Pszczyńskie. Należy dodać, że ówczesne województwo krakowskie sięgało w głąb Kielecczyzny. Dobra biskupie obejmowały dwadzieścia miast i dwadzieścia kilkadziesiąt wsi. Z dóbr królewskich i prywatnych przypadły dziesięciny na rzecz biskupa oraz dochody z obfitych kopalni żelaza, miedzi i ołowiu na obszarze dóbr

własnych. Biskupi krakowscy byli takimi bogaczami, że na ogół bardzo niechętnie przechodzili na stanowisko arcybiskupa gnieźnieńskiego, będącego zarazem prymasem, bo nie było tam równego majątku. Dekretem papieskim mieli biskupi krakowscy zawarowane pierwsze miejsce w senacie obok króla, tuż za prymasem. W r. 1443 Zbigniew Oleśnicki nabył księstwo Siewierskie i oddał aż do trzeciego rozbioru, do roku 1795 biskupi krakowscy nosili tytuł książąt Siewierskich.

Wzrost majątków kościelnych, a szczególnie na obszarze przedrozbiorowego biskupstwa krakowskiego, nieco tylko hamowały ustawy sejmowe, postanawiające już od roku 1635, że dobra ziemskie nie mogą przechodzić z rąk szlachty ani w formie darowizny, ani w formie sprzedaży pod karą nieważności takiej transakcji. Najostrejsze z tych zakazów z lat 1768 i 1776 działały dość słabo w okresie powszechnej już anarchii w Polsce. Sejm Czteroletni ustawa z dnia 27 lipca 1789 roku uchwalił zajęcie dóbr biskupstwa krakowskiego na fundusz wojskowy w celu utworzenia 100-tysięcznej armii. Biskupowi krakowskiemu wydzielono część dochodów w kwocie 100 tysięcy złotych polskich rocznie, a skarbowi państwa przypadł roczny dochód w wysokości około 600 tysięcy złotych. Ta ustawa sejmowa działała podobnie (a raczej miała działać) w stosunku do innych diecezji, dopiero po śmierci każdego biskupa. Charakterystycznym jest fakt, że Konfederacja Targowicka nakazała zwrot zajętych dóbr biskupowi krakowskiemu.

Trzeci rozbiór Polski pozbawił biskupstwo krakowskie tytułu książęcego na sto lat następnych, bo księstwo Siewierskie, po ustaleniu granic zabiorczych zostało włączone do diecezji wrocławskiej. Po stu latach, w r. 1889, dnia 21 stycznia cesarz austriacki Franciszek Józef I przywraca tytuł książęcy biskupowi krakowskiemu specjalnym dekretem, podwyższa dotację i oddał istniejące

już właściwie C.K. Książęca Kuria Metropolitalna, do dziś dnia pyszniąca się feudalnym i zabobnym tytułem książęcym.

Do tych wspominków historycznych wypada dołączyć jeden jeszcze fakt. Oto pod opiekuńczymi skrzydłami ukrywanej przez zabobę Kurii Metropolitalnej krakowskiej rozebrano, zburzono lub przebudowano za czasów austriackich dla ścieżek celów 20-cia zatytkowych kościołów krakowskich. Powstały z nich: magazyny, sąd karny, więzienia, teatr, sale balowe, domy czynszowe itp. A działało się to w ultrakatolickim państwie „bojaźni bożej” pod okiem krakowskich książąt Kościoła i apostołskiego cesarza. Watykan nie krył wstydliwej, że niszczy się miejsca kultu religijnego i uciska religię.

Choć w okresie porobiorowym latyfunda biskupstwa krakowskiego niepomierne schudły w porównaniu z czasami Polski szlacheckiej, niemniej jednak żywymi pozostały nadal tradycje sobiepaństwa biskupów krakowskich, czego wyrazem było i jest występowanie w roli udzielnych książąt kardynałów: dawniej Puzyny, a dziś Sapiehy. Znane z prasy odwołanie okretu amerykańskiego z le-karstwami i darami dla podopiecznych „Caritas” — to tradycje jasniepańskie i warcholskie „veto” ostatniego z feudalów, pozującego na królewiatko Rzeczypospolitej.

Pierwszą niepodległość Polski powitała książęco-metropolitalna kuria krakowska już w r. 1919 wyzyskiem i uciskiem chłopów matorolnego i bezrolnego, dzierżawców gruntu biskupiego „Pisze o tym żywopod” z dnia 17 stycznia 1919 r. „W powiecie podgórnym jest około 10 gmin kameralnych, będących w użytku każdego zaborczego biskupa krakowskiego. Naturalnie wszelkie dochody z tych dóbr idą dla biskupa. Dzierżawcami gruntów biskupich są bezrolni lub małorolni chłop, największa biedota o rabiająca na nędzne życie w fabrykach w Borku Fałęckim. I tym ludzom wypowiada zarząd dóbr ksią-

żeco-biskupich dzierżawy, aby im, względnie innym biedakom na nowo wydzierżawić grunta, podnosząc czynsze o 300 do 700 procent. Okoliczni obszarnicy podnieśli równocześnie czynsze tylko o 10 procent.

Stosunki te są dobrze znane księdzu biskupowi Sapieżce, bo były u niego deputacje pokrzywdzonych, lecz ich skargi pozostały bez echa. Leży przed nami spis 39 dzierżawców gruntów z Opatkowic, którym zarząd przez swego pełnomocnika Kwiecińskiego, mającego od księdza biskupa nieograniczone pełnomocnictwo, w lichwiarski sposób popodnosił czynsze dzierżawne. Wszecchiadnymi panami w zarządzie są: ów Kwieciński i jego kompanion Pietrzak, któremu Kwieciński wydierżawia większe kompleksy gruntów, a ten je znów chłopom poddzierżawia. Czyli pasek lichwiarski w najobrzydliwszy sposób, za który całe towarzystwo znaczne powinno siedzieć w kryminale.

Tak oceniała opinia publiczna książęco-biskupia gospodarke w dobrach podkrakowskich już 30 lat temu. Tradycje tego ucisku i wyzysku przetrwały do dziś dnia. W parze z tymi tradycjami szły antyrobotnicze wystąpienia kardynała Sapiehy, szcze-gólnie w 1923 i 1926 r., gdy na ulicach Krakowa lała się krew robotnicza w walce z wyzyskiem kapitalistycznym.

Dobra „martwej ręki” obejmują w przedmiotnym i biednym woj. krakowskim około 23 tysiące ha. Przejęciu przez Państwo podlegać będzie ponad 20.000 ha dóbr biskupich, klasztornych i innych. Od czasu odzyskania niepodległości rozsprowadzono około 2.000 ha ziemi za sumę ca 300.000.000 zł. Pieniądze te nie poszły ani na odbudowę czy odnowienie zabytkowych budowli kościelnych, ani też na cele charytatywne, ale zostały po prostu skonsumowane przez reakcyjny kler ku chwale doczesnego żywota. Równocześnie w ciągu tych lat samo tylko Ministerstwo Kultury i Sztuki wydatkowało na odbudowę i odnowienie kościołów

i zabytkowych budowli kościelnych w woj. krakowskim kwotę około 30 mil. zł. Sam ołtarz Wita Stwosza, który wymagał pilnej i starannej restauracji, pochłonął sumę 12.808.000 zł. Na odnowienie kościoła św. Andrzeja dało Ministerstwo Kultury i Sztuki kwotę 3 i pół miliona zł. Szły subwencje na odnowienie Katedry na Wawelu, kaplicy Batorego, kaplicy Świętokrzyskiej, chociaż Kapituła katedralna posiada majątek ziemski ok. 900 ha. Jednym z największych skandali była sprawa słynnych witraży z kościoła Dominikańskiego, witraży, które stanowiły zabytek z początku XV w. Witraże te od 1914 roku leżały w pakach nieruszone. Zajął się nimi Zarząd Miejski Krakowa i obecnie te witraże są restaurowane i wróca do klasztoru na skutek troski właśnie Państwa Ludowego.

Największe obszary ziemi posiadają jeszcze do dziś dnia na terenie województwa krakowskiego najbardziej arystokratyczne zakony.

W świetle powyżej podanych faktów i obrazów, jakże słuszną okazuje się projektowana ustawa sejmowa o przejęciu przez Państwo dóbr martwej ręki, o poręczeniu proboszczom posiadanych gospodarstw rolnych i utworzeniu funduszu kościelnego. Likwiduje ona przeżytki feudalizmu, przeżytki gospodarcze, społeczne i ideologiczne. Wyzwala wyzyskiwane przez kościelnych feudalów chłopów i robotników rolnego. Zapewnia opiekę zasłużonym dla społeczeństwa duchownym. Pozwala Państwu jeszcze większą troską otoczyć zabytki religijnej sztuki, a wreszcie usuwa urągającą dzisiejszemu czasom zacofania, niechlujność, rabunkowość, a przez to zdecydowanie antyspołeczną gospodarke w dobrach „martwej ręki”.

Miejscem dla „martwych rąk”, mógzów muzealnych i przeżytków feudalizmu jest lamus historii! Czasy dzisiejsze — to czasy żywych i planowo pracujących rąk i mózgów, budujących pełną sprawiedliwość społeczną.

Adam Polewka.

CZESŁAW WYCECH

ZNIESIENIE OBSZARNICTWA KOŚCIELNEGO*)

Na projekt ustawy o przejęciu przez Państwo dóbr martwej ręki, patrzymy z dwu punktów widzenia: społeczno - gospodarczego i politycznego.

Z punktu widzenia społeczno - gospodarczego nie ma żadnych racji odmiennego traktowania folwarków kościelno - zakonnych aniżeli obszar-nicznych, wszak one stosowały te same formy gospodarowania oraz uprawiały te same formy wyzysku mas chłopskich. Co więcej z punktu widzenia rozwojowo - historycznego nie kto inny jak kościół przyniósł nowe formy gospodarowania, przyniósł do Polski i ustrój feudalny i formy feudalnego wyzysku mas kmiecio-chłopskich. Przed powstaniem folwarku pańszczyźnianego panowie duchowni byli największymi obszar-nikami, a zatem byli największymi wyzyskiwaczami mas ludowych. Biskup plocki w 1203 roku posiadał 230 wsi, gnieźnieński posiadał w 1374 roku 11 miast i 330 wsi, biskup krakowski posiadał w XV wieku 11 miast, 225 wsi całych i 17 wsi częściowych.

Rozwój ustroju poddańczo - pańszczyźnianego pozbawił chłopów nie tylko praw obywatelskich, lecz praw własności do ziemi. Panowie świeccy i duchowni gnębili masę ludową, odbierali im ziemię, stosowali różne formy wyzysku, odbierali im prawa ludzkie, prawa wolnościowe. W końcu XVIII wieku, w dobie upadku systemu poddańczo - pańszczyźnianego, kościół posiadał w swoim reku według Korzona prawie piątą część ziemi (17 proc.), gdy do szlachty należało 64 proc., do królewskiej 19 proc. A przecież obok tego wyzysku była jego inna i niemiętelniej uciążliwa forma — dziesięcina, która wyćkała pot i łzy z mas chłopskich.

Nie w tym dziwnego, że chłopska walka wyzwolencza w ciągu wieków była skierowana zarówno przeciwko wyzyskowi panów świeckich jak i duchownych, a w okresie piastowskim głównie przeciwko wyzyskowi w folwarkach zakonno - kościelnych.

Jedną szli drogą przez tysiące lat trwania państwowości polskiej w wyzyskiwaniu mas chłopskich zarówno

pan świecki i duchowny i jeden powinni podzielić los. Wyzysk w każdej postaci musi być i będzie zlikwidowany, bo w majestacie rewolucyjnego prawa mas ludowych rodzi się nowy ustrój pełnej sprawiedliwości społecznej. Tak na te sprawy patrzy Klub Stronnictwa, które nawiązuje w swej ideowej postawie do męczeńskiej wiekowej walki mas ludowych z wszelką krzywdą i wyzyskiem.

W uchwalonej ustawie widzimy zamknięcie długiego okresu naszych krzywd, poniżenia, okresu hamowania mas chłopskich w ich rozwoju fizycznym i duchowym.

Omawiana ustawa ma swoją drugą stronę — polityczną.

Rzadzi nie tylko ten, kto posiada władzę polityczną, ale i ten, a przede wszystkim ten, kto posiada dobrą ekonomiczną, ziemie, kopalnie, fabryki, pieniądze, handel, środki komunikacji. Już czerwony kanonik, ksiądz Jezierski w 1790 roku w swym „Katechizmie o tajemnicach rządu polskiego” (szlacheckiego) pisał: „Kto rzadzi Rzeczpospolitą? (szlachecka). Przywileje i nierząd. Kto trzyma władzę prawodawczą i wykonawczą Rzeczpospolitej? Król, senat i rycerstwo, trzy stany a jeden szlachcie. Król, wyżsi duchowni i szlachta oni posiadali ziemię i oni rzadzili”.

Tak o sarmackim prawie, o władzy tych, co posiadają dobra mówił już czerwony kanonik ks. Franciszek Salezy Jezierski, jeden z wódzów „Kuźnicy Kollatajowskiej”.

Ruch ludowy, poczynając od spisków Gorkowskiego i Siegieńskiego, poprzez Polski Związek Ludowy, Wyzwolenie i Niezależną Partię Chłopską aż do dzisiejszego Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, widział w pańskich dworach i majątkach kościelnych ośrodki politycznej reakcji.

Wyższy kler mając podbudowę ekonomiczną w dobrach martwej ręki i wyzyskując dla celów politycznych zasady religijne, prowadził walkę z ruchem ludowym i robotniczym.

Czy potrzebna Wysockiej Izbie przypominać listy pasterskie przeciw ru-

chowi ludowemu biskupów Loboza, Wałęgi, Pelczara, Puzyny, Teodorowicza, Łozińskiego? Czy potrzeba omawiać zarządzenie kanoniczne biskupa Łukomskiego z Łomży z dnia 14 marca 1928 r., które zalecało proboszczom odmawiania sakramentów świętych wiernym, należącym do „partii socjalistów wyzwolenców, komunistów lub stronnictw chłopskich”.

Znaczna część niższego kleru wikariusze i proboszczowie pod naciskiem wyższej hierarchii kościelnej prowadziła walkę z ruchem ludowym. Ruch ludowy nie walczył i nie walczy ani z religią ani z kościołem, a mimo to z ambon i kazalnicy przez dziesiątki lat padały gromy na ruch ludowy i jego działaczy.

Władze Polski Ludowej dały kościółowi całkowitą swobodę w dziedzinie działalności religijnej. W szkołach prowadzona jest nauka religii. Ludowe państwo łoży duże kwoty na odbudowę zniszczonych świątyń i daje znaczne sumy na cele akcji charytatywnej czynników kościelnych.

Rząd Polski Ludowej dąży i dąży do poprawnego ułożenia stosunków między kościołem i państwem. Tymczasem część wyższej hierarchii duchownej już od dawna powiązana z reakcyjnymi ośrodkami politycznymi kraju prowadzi walkę z władzami Polski Ludowej i podejmowanymi reformami społecznymi. Polityka Polski Ludowej idzie po linii likwidowania krzywdy i wyzysku oraz budowania ustroju pełnej sprawiedliwości społecznej. Wydawałoby się, że tego rodzaju polityka winna znaleźć poparcie ze strony wyższej hierarchii kościelnej, wszak i ona oficjalnie głosi służbę bliźniemu i realizowanie sprawiedliwości społecznej. Tymczasem dzieje się inaczej. Wielowiekowe powiązania polityczne wyższej hierarchii duchownej z panami feudalnymi, potem obszarnikami i kapitalistami zaciążyły na stosunku wielu dygnitarzy kościelnych do kierunku politycznej i władz Polski Ludowej i postawiły ją w pozycji antyludowej. Pozostając w jawnym lub ukrytym przymierzu z reakcją podjęli

otwartą lub zamaskowaną walkę polityczną z państwem ludowym. Wzorem dawnych metod postępowania nadużywa się w tej walce listów pasterskich, ambon, spowiedzi, organizacji religijnych czy charytatywnych, jak to miało miejsce z „Caritasem”.

Szereg procesów sądowych wykazało, że wielu duchownych czynnie współdziałało z podziemnymi, reakcyjnymi elementami w walce z władzami Polski Ludowej. Wielu księży z band leśnych i organizacji podziemnych zostało skazanych na kary długoletniego więzienia. Wyższe władze kościelne zasłaniające się pozorami apolityczności nie potępiły zbrodniczej działalności tych księży. Wielu wysokich dygnitarzy duchownych, którzy już przedtem byli znani z zacieklej walki z ruchem ludowym i robotniczym, dziś podjęło walkę z Polską Ludową, wywierając w tym kierunku nacisk na niższe hierarchie duchowieństwa. Tę walkę z Polską Ludową ubierają w szaty obrony rzekomo zagrożonej religii. Starają się wiernym przedstawić tę walkę jako walkę nie polityczną, lecz religijną. Jest to próba rozpętania walki na tle religijnym, gdy sami mają na oku cele wyraźnie polityczne. Już przed wojną mieliśmy objawy tego zjawiska, kiedy to pod hasłem rzekomej neutralności prowadzono walkę polityczną.

Wyższa hierarchia duchowna zasłaniała się neutralnością, gdy po kościołach odprawiano nabożeństwa za mordcę prezydenta Narutowicza. Wyższa hierarchia duchowna milczała, gdy na polach Łapanowa i Kasiny chłopci dziesiątkami padali w strajkach chłopskich.

Dziś znowu „wyższa hierarchia kościelna zasłania się neutralnością polityczną i nie zabiera głosu”, zachowując jakże wymowne milczenie wobec udziału wielu duchownych w podziemnej akcji przeciwko Polsce Ludowej.

Nie potrzeba uzasadniać, że pod maską tego milczenia i rzekomej neutralnej postawy kryje się czyste wody polityki.

W okresie 150 lat niewoli wyższa hierarchia kościelna nie zasłaniała się „neutralnością” i uznawała rządy zaboborze. Co więcej część wyższej hierarchii kościelnej potępiała powstania narodowe i udział w nich księży patriotów. Wyższa hierarchia kościelna w Kielcach w 1845 roku nie zasłaniała się neutralnością i na żądanie władz carskich pozbawiła godności kapłańskiej wodza chłopskiej rewolucji i księdza patriotę Piotra Siegieńskiego.

Dziś w imię rzekomej neutralności hierarchia kościelna odmawia ułożenia stosunków między ludowym państwem a kościołem. Wyższa hierarchia kościelna obciążona tradycyjną współpracą z klasami posiadającymi, nie chce zrozumieć ducha nowych idejów czasów. W istocie swej solidaryzuje się z gąszącym światem kapitalistycznym. Niższe duchowieństwo zachęca i skłania do akcji w obronie resztek kapitalizmu.

Sprawa jest jasna.

Część wyższej hierarchii kościelnej prowadzi lub toleruje polityczną działalność przeciw ludowemu państwu. W prowadzeniu tej polityki posiada bazę materialną w majątkach martwej ręki. Co więcej. Dobra materialne stały się narzędziem w ręku części wyższej hierarchii kościelnej dla zyskiwania księży patriotów, wyrosłych z ludu i z ludem się solidaryzujących w jego drodze do budowy wyższych form gospodarowania w ustroju pełnej sprawiedliwości społecznej. Dawały one podstawy materialne do prowadzenia antyludowej polityki.

Władze Polski Ludowej nie mogły dużej tolerować wytworzonego stanu rzeczy. Projekt ustawy o dobrach martwej ręki i utworzeniu Funduszu Kościelnego przekreślił tego rodzaju skądinąd praktyki.

Ustawa słusznie rozróżnia, podobnie, jak ustawa o reformie rolnej z 6 września 1944 roku, dobra mniejszej własności, czyli proboszczowskie i dobra wielkiej własności, czyli najczęściej biskupie i zakonne. Inny charakter społeczno-gospodarczy ma-

ją grunty proboszczowskie i inne jest zachowanie wobec Polski Ludowej niższego kleru, zróżniczonego z ludem. I dlatego inne potraktowanie gruntów proboszczowskich w omawianej ustawie jest słusne zarówno z punktu widzenia społeczno-gospodarczego, jak i politycznego.

Za likwidacją wielkiej własności ziemskiej kościelnej i zakonnej oraz jej uspołecznieniem przemawiają zatem — jak wykazaliśmy — względy natury społecznej, gospodarczej i wyznaniowo-religijnej.

Uspołecznienie wielkich dóbr „martwej ręki” zlikwiduje bazę ekonomiczną dla działalności reakcyjnej części kleru i zakonów. Znikną pozostałości feudalnego wyzysku zarówno robotników rolnych, jak i matorolnych chłopów, którym po wysokich cenach wydzierzawiano ziemię. Na tych folwarkach biskupich i zakonnych powstają, podobnie jak w państwowych majątkach ziemskich, społeczne, wyższe formy gospodarowania.

Utworzenie Funduszu Kościelnego, opartego o uspołecznienie majątków z jednej strony, a dotacje państwowe z drugiej strony, będzie mieć doniosłe znaczenie dla życia parafialnego jak i duchowieństwa. Poprzez Fundusz Kościelny prowadzona będzie akcja odbudowy zniszczonych świątyń, będą subwencjonowane słabsze gospodarstwo parafie, a duchowieństwo znajdzie w nim dla siebie pomoc w dziedzinie opiekuńczej i zdrowotnej. Na te rozwiązania konkretnych bolączek z życia parafialnego i duchowieństwa w ramach Funduszu Kościelnego realizować się będzie współpraca między Ludowym Państwem, a kościołem. Poprzez stałe poszerzanie i wzmacnianie współpracy na tym odcinku Polska Ludowa będzie zmierzała celowo i konsekwentnie do ułożenia stosunków między państwem a kościołem w myśl deklaracji rządowej z dnia 14 marca 1949 r.

Czesław Wycech.

*) Fragment przemówienia na Sejmie (20 marca 1950 r.).

JÓZEF KOWALSKI

CHŁOPSKI CZY NIE CHŁOPSKI

PIERWSZE wrocławskie eliminacje wojewódzkie artystycznych zespołów świetlicowych ZSCH na pieśń i teatralną sztukę radziecką w Miesiącu Pogłębiecia Przyjaźni Polsko - Radzieckiej ciągnęły się od rana do późnej nocy. Zakwalifikowanie dwudziestu zespołów według wielostronnych warunków regulaminu konkursowego, nie było rzeczą łatwą. Chodziło przecież o to, by eliminacje wypadły trafnie, by wybrane zespoły godnie zaprezentowały się w Warszawie i w finale ogólnokrajowego konkursu nie znalazły się na ostatnim miejscu.

Dyskretnie obserwowałem pracę członków jury i przysłuchiwałem się ich debatom, nasycycom fachową terminologią, a mój lokalny, dolnośląski patriotyzm wciąż trzymał mnie w pobliżu sędziowskiej trybuny, bo wiem chciałem upewnić się co do naszych szans.

Okazało się, że trafnie wyeliminowano. Do Warszawy pojechały cztery dolnośląskie zespoły, wszystkie cztery zostały nagrodzone i to nie było jak, bo dwa z nich uznano za najlepsze w Polsce. Nasz czterogłosowy chór z Bąkowie powiatu Namysłów nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Kiedy został wyznaczony do centralnych eliminacji, niektórzy jego członkowie zatroskali się. Jeden z nich, baryton, powiedział do mnie:

— Panie! Jakże ja mogę odejść z domu na cały tydzień? Zna sobie nie poradzi w gospodarstwie! Dwie krowy, koń, świnie zakontraktowane, a dzieci jeszcze małe, nie pomogą! Co tu robić?

— Nie martwcie się, sprawą społeczną. Sąsiedzi pomogą.

Na wzmiankę o sąsiadach uśmiechnął się i po chwili zaczął podśpiewywać refren z ukraińskiej ludowej piosenki, nie powracając już do tematu. Wtedy pomyślałem sobie, że gromada Bąkowie dobrze układa swoje społeczne życie.

W stojącej obok grupie dziewcząt, jakaś niebieskokoka bąkowiczanka biadoliła, że matka pewnie nie pozwoli jej jechać na tak długi czas do Warszawy, ale koleżanki uspokoiły pesymistkę, argumentując:

— Dlaczego ma nie pozwolić? Przecież wszystkie razem jedziemy, a nie pojedynczo! Janek jedzie z nami. Nie bój się, Marysiu! On cię upilnuje! Nigdzie mu się już nie zapodziejesz!

Swoją dowcip pokryły chóralnym śmiechem. Marysia zapomniała się, a Janek podszedł do niej, objął ją ramieniem i głośno, by wszyscy słyszeli, powiedział:

— Uprosimy matkę i zezwoli. Pojedziemy, dziewczyno! Zaspiewamy sobie w stolicy, a po powrocie te śmiechy zaspiewają nam na weseliu.

Niestety, Janek będzie musiał termin wesela przesunąć, bo uzyskanie przez zespół pierwszego miejsca w kraju, pociąga za sobą niuniknione konsekwencje. Chór z Bąkowie zszedł. Teraz jest rozrywany, jeżdży, występuje, zbiera oklaski i podziękowania, pięknie i korzystnie dla rozwoju rolniczo-chłopskiego uczestniczy w wymianie kulturalnej między wsią a miastem, przez swój dorobek repertuaru pieśni rosyjskich i ukraińskich, pogłębia przyjaźń polsko-radziecką.

Chłopski zespół chóralny z Bąkowie, to chluba polskiej wsi. Ma on chórmiistrza małego wzrostem, lecz dzielnie i niezmiernie waleczny w pracy, obywatela Zmora, któremu zawdzięcza swoje sukcesy.

Podobnie jak o bąkowickim, należy mówić o świetlicowym zespole tanecznym z gromady Stobrawa, w powiecie Brzeg. Na eliminacjach krajowych zajął on również pierwsze miejsce i to za „Kołomyjkę”, tańczoną z kapitalną werwą, przy wzorowym zachowaniu rytmu i wysokiej kulturze w wykonaniu całej tańca. Doskonali zespół. Typowo chłopski tak, jak jego współpartner z Bąkowie.

Ale nie o te zespoły chodzi mi w danym wypadku. O nich już sporo pisano, należało im się to, natomiast ja postanowiłem napisać o jednym z zespołów nienagrodzonych, jednak zasługujących na uznanie. Jest nim zespół świetlicowy z gromady Ludwikowice Kłodzkie. Doszedł on do eliminacji wojewódzkich i tutaj zaprezentował mu, że zaproszono go marsza sportowego w strojach tenisowych i pieśń marynarzy radzieckich w strojach marynarskich, tracąc przez to swój ludowy charakter. Zdziwiony tym zarzutem, zapytałem jednego z członków jury, co mają zrobić chłopcy z kortem tenisowym, jeśli on, tak nieodpowiednio dla ustalonych poglądów, znalazł się w ich wsi? Czy mają go zaościć, lub postawić na nim „stawki”? jedynie w celu utrzymania swojszczyzny? Jak długo jeszcze nie będzie wypadało chłopom uprawiać białego sportu? Czy chłopcy nie służą w marynarce i nie śpiewają marynarskich pieśni? Czy mamy dzielić kulturę na wiejską i miejską i wyodrębnić na wsi tylko to, co tradycyjnie ludowe, nie uznając wiejskiego udziału w ogólnym postępie?...

Przyznałem, że w tym miejscu byłem nieco zirytyowany. Kiedy, na dobitkę, zarzucono dyskwalifikowane mu już zespołowi, że jego produkcje wyglądają zbyt „rewiowo”, wtedy uśmiełem i poczęłem zastanawiać się, czy rzeczywiście chłopcy z Ludwikowice nie popełnili błędów, zbyt szybko emanującymi, a także, czy poszczególni członkowie jury są przygotowani do śledzenia i oceny zdobywczo-chłopskiego kroku. „Rewiowość” ludwikowskiego zespołu nie odpowiadała wymagającym sędziom, natomiast zachwycali się oni rewią, tak jest, niczym innym, jak rewią barwnych ludowych strojów, przygotowanych w szatni teatralnej, a pokazujących na scenie w różnego rodzaju tanecz-

nych korowodach, zaakceptowali inscenizację chłopskiego zespołu, daną w robotniczych, fabrycznych kombinatach, z rekwizytami takimi, jak obrabiarka, czy szlifierka, nie zważając na swych odchylen od realizmu, czy od tej niby zasady.

A tymczasem ludwikowski zespół pokazał dobrą klasę. Był zgrany. Głosy, dykcja, ruch, tempo, partie solowe opracowane, reżyserie miał bez zarzutu i miał jeszcze to, czego brakowało innym zespołom, mianowicie radosny uśmiech, którym zarażał widzów. Widownia reagowała długotrwałymi oklaskami, a poważny areopag jury stwierdził: „Bardzo miły zespół, ale”...



Zespół dramatyczny kopalni „Żbyszek” w Trzebinie w sztuce „Gospodarz do ja”

Tak. Wiedziałem. Ale nie chłopski. Cóż poradzić na to. Na ogólnokrajowych dożynkach we Wrocławiu też zarzucano niektórym województwom, że wystawili zespoły złożone ze studentów, przebranych w chłopskie sukmany, nie będących świetliczanami. Ludzkie ambicje, pomysły, złośliwość i konkurencyjna zawiść, nie wymierają, a licho wie, czy moi sympatycy ludwikowiczanie nie są zawodowymi aktorami, udającymi wiejskich amatorów?

Po postanowieniu przekonać się o tym osobiście i na miejscu, w Ludwikowicach. W trzy tygodnie po wojewódzkich eliminacjach, jadąc tam, wstąpiłem do Kłodzka, by przyjechać siłą ludowym zespołom, występującym na powiatowych eliminacjach w ramach czynu pokongresowego Z.S.L. Program zapowiadał łączną ilość ośmiu zespołów PGR, ZMP i ZSCH. Wśród tych ostatnich i Ludwikowice. Czekając z niecierpliwością, co wystawią i jak się popiszą. Kiedy z kolei zespół ludwikowski ukazał się na scenie w wodewilu „Spółdzielni swatam”, napisanym przez kierownika tego zespołu, a jednocześnie jego reżysera, ob. Lisiewicz, skupiłem się i nastawiłem krytycznie. O dziwo. W wybitnie ludowej sztuce, w ludowych strojach, przy tekście wygłaszanym ludową gwara, ludwikowiczanie zachowali się tak zdrowo, po chłopsku, tak dziarsko i zamaszyście, że nikt nie mógłby mieć wątpliwości co do ich społecznego pochodzenia. Był to typowo chłopski zespół o wysokiej kulturze, o doskonałym reżyserkim przygotowaniu. Nikt z grających nie synpiał się, choć grali bez suflera. Treść sztuki aktualna: dziewczyna odpala wiejskiego kulaka i wychodzi za organizatora spółdzielni produkcyjnej. Ostatnia scena zamyka się brawurowym oberatasem, wiodnią szaleje, zespół musi trzykrotnie bisować.

Podczas przerwy dostrzegłem w jury moją znajomą z jury wrocławskiego. Podchodzę do niej i zapytuję:

— No i jak wypadły Ludwikowice? — Doskonale! Świetnie! Murowanie wezma pierwsze miejsce!

— Chłopskie są, czy nie chłopskie? — Naturalnie że chłopskie! Wybitnie chłopskie!

Ta opinia doskonałej znawczyni, przedstawicielki ORZZ, a więc instytucji rywalizującej z ZSCH w pracach świetlicowych, wypowiedziana była z przekonaniem.

W dwa dni po tym przyjechałem do Ludwikowice. Było to wieczorem. Wyszliśmy z autobusu, znalazłem się w dość ciemnej ulicy, choć wieś jak zauważyłem, była elektryfikowana, leżąca w kotłynie między górami. Na podstawie obserwacji wyobraziłem sobie, że miło się tu mieszka, ale gospodarz rolna ma trudne warunki.

Wyobraźnia lubi błądzić po omacku, więc szybko odziedziliśmy się od niej, gdyż błądził nie zamierzam, natomiast obejrzałem się za kims, kto by mi wyraźnie określił drogę do gromadzkiej świetlicy. Znalazł się taki, a właściciel natknął się na mnie w mroku i po wymianie kilku krótkich zdań, posłaliśmy z nim śródkiem szosy, przyswecając sobie batoryjkowymi latarkami.

— Kiepskie macie szosę!

— A tak. Powybijana. Brak funduszy na remont. Gminie mamy biedną, bo w tych górach, panie, gleba nie rodzi obficie i pogoda grymasna, ale na przyszłą wiosnę poprawimy szosę.

— Daleko stąd do świetlicy?

— Nie. Blisko.

— A czy zastaniemy tam kogoś?

— Napewno. O tej porze schodzą się na próby. Kończą też malowanie sali teatralnej. Napracowali się. Nie było tam ni okien, ni drzwi, a bru-

du leżało na łokcie. Przez dach się lalo. Sami wszystko doprowadzili do porządku.

— Kto?

— Ano oni. Zespół.

— Jaki zespół?

— Uprzejmy dotychczas przewodnik nie odpowiedział na moje pytanie, a po chwili milczenia sam zapytał:

— Panie? Skąd pan przyjechał?

— Z Wrocławia.

— Aha! No, to może pan nie wie, dzieć, że nasz zespół świetlicowy znany jest nie tylko w kłodzkim, ale i w sąsiednich powiatach. Sławny zespół! Ho, ho!... Pozna go pan, bo

du leżało na łokcie. Przez dach się lalo. Sami wszystko doprowadzili do porządku.

— Kto?

— Ano oni. Zespół.

— Jaki zespół?

— Uprzejmy dotychczas przewodnik nie odpowiedział na moje pytanie, a po chwili milczenia sam zapytał:

— Panie? Skąd pan przyjechał?

— Z Wrocławia.

— Aha! No, to może pan nie wie, dzieć, że nasz zespół świetlicowy znany jest nie tylko w kłodzkim, ale i w sąsiednich powiatach. Sławny zespół! Ho, ho!... Pozna go pan, bo

du leżało na łokcie. Przez dach się lalo. Sami wszystko doprowadzili do porządku.

— Kto?

— Ano oni. Zespół.

— Jaki zespół?

— Uprzejmy dotychczas przewodnik nie odpowiedział na moje pytanie, a po chwili milczenia sam zapytał:

— Panie? Skąd pan przyjechał?

— Z Wrocławia.

— Aha! No, to może pan nie wie, dzieć, że nasz zespół świetlicowy znany jest nie tylko w kłodzkim, ale i w sąsiednich powiatach. Sławny zespół! Ho, ho!... Pozna go pan, bo

du leżało na łokcie. Przez dach się lalo. Sami wszystko doprowadzili do porządku.

— Kto?

— Ano oni. Zespół.

— Jaki zespół?

— Uprzejmy dotychczas przewodnik nie odpowiedział na moje pytanie, a po chwili milczenia sam zapytał:

— Panie? Skąd pan przyjechał?

— Z Wrocławia.

— Aha! No, to może pan nie wie, dzieć, że nasz zespół świetlicowy znany jest nie tylko w kłodzkim, ale i w sąsiednich powiatach. Sławny zespół! Ho, ho!... Pozna go pan, bo

du leżało na łokcie. Przez dach się lalo. Sami wszystko doprowadzili do porządku.

— Kto?

— Ano oni. Zespół.

— Jaki zespół?

— Uprzejmy dotychczas przewodnik nie odpowiedział na moje pytanie, a po chwili milczenia sam zapytał:

— Panie? Skąd pan przyjechał?

— Z Wrocławia.

— Aha! No, to może pan nie wie, dzieć, że nasz zespół świetlicowy znany jest nie tylko w kłodzkim, ale i w sąsiednich powiatach. Sławny zespół! Ho, ho!... Pozna go pan, bo

du leżało na łokcie. Przez dach się lalo. Sami wszystko doprowadzili do porządku.

— Kto?

— Ano oni. Zespół.

— Jaki zespół?

— Uprzejmy dotychczas przewodnik nie odpowiedział na moje pytanie, a po chwili milczenia sam zapytał:

— Panie? Skąd pan przyjechał?

— Z Wrocławia.

— Aha! No, to może pan nie wie, dzieć, że nasz zespół świetlicowy znany jest nie tylko w kłodzkim, ale i w sąsiednich powiatach. Sławny zespół! Ho, ho!... Pozna go pan, bo

du leżało na łokcie. Przez dach się lalo. Sami wszystko doprowadzili do porządku.

— Kto?

— Ano oni. Zespół.

— Jaki zespół?

— Uprzejmy dotychczas przewodnik nie odpowiedział na moje pytanie, a po chwili milczenia sam zapytał:

— Panie? Skąd pan przyjechał?

— Z Wrocławia.

— Aha! No, to może pan nie wie, dzieć, że nasz zespół świetlicowy znany jest nie tylko w kłodzkim, ale i w sąsiednich powiatach. Sławny zespół! Ho, ho!... Pozna go pan, bo

du leżało na łokcie. Przez dach się lalo. Sami wszystko doprowadzili do porządku.

— Kto?

— Ano oni. Zespół.

— Jaki zespół?

— Uprzejmy dotychczas przewodnik nie odpowiedział na moje pytanie, a po chwili milczenia sam zapytał:

— Panie? Skąd pan przyjechał?

— Z Wrocławia.

— Aha! No, to może pan nie wie, dzieć, że nasz zespół świetlicowy znany jest nie tylko w kłodzkim, ale i w sąsiednich powiatach. Sławny zespół! Ho, ho!... Pozna go pan, bo

du leżało na łokcie. Przez dach się lalo. Sami wszystko doprowadzili do porządku.

— Kto?

— Ano oni. Zespół.

— Jaki zespół?

— Uprzejmy dotychczas przewodnik nie odpowiedział na moje pytanie, a po chwili milczenia sam zapytał:

— Panie? Skąd pan przyjechał?

— Z Wrocławia.

— Aha! No, to może pan nie wie, dzieć, że nasz zespół świetlicowy znany jest nie tylko w kłodzkim, ale i w sąsiednich powiatach. Sławny zespół! Ho, ho!... Pozna go pan, bo

du leżało na łokcie. Przez dach się lalo. Sami wszystko doprowadzili do porządku.

— Kto?

— Ano oni. Zespół.

— Jaki zespół?

— Uprzejmy dotychczas przewodnik nie odpowiedział na moje pytanie, a po chwili milczenia sam zapytał:

— Panie? Skąd pan przyjechał?

— Z Wrocławia.

— Aha! No, to może pan nie wie, dzieć, że nasz zespół świetlicowy znany jest nie tylko w kłodzkim, ale i w sąsiednich powiatach. Sławny zespół! Ho, ho!... Pozna go pan, bo

du leżało na łokcie. Przez dach się lalo. Sami wszystko doprowadzili do porządku.

— Kto?

— Ano oni. Zespół.

— Jaki zespół?

— Uprzejmy dotychczas przewodnik nie odpowiedział na moje pytanie, a po chwili milczenia sam zapytał:

— Panie? Skąd pan przyjechał?

— Z Wrocławia.

— Aha! No, to może pan nie wie, dzieć, że nasz zespół świetlicowy znany jest nie tylko w kłodzkim, ale i w sąsiednich powiatach. Sławny zespół! Ho, ho!... Pozna go pan, bo

du leżało na łokcie. Przez dach się lalo. Sami wszystko doprowadzili do porządku.

— Kto?

— Ano oni. Zespół.

— Jaki zespół?

— Uprzejmy dotychczas przewodnik nie odpowiedział na moje pytanie, a po chwili milczenia sam zapytał:

— Panie? Skąd pan przyjechał?

— Z Wrocławia.

— Aha! No, to może pan nie wie, dzieć, że nasz zespół świetlicowy znany jest nie tylko w kłodzkim, ale i w sąsiednich powiatach. Sławny zespół! Ho, ho!... Pozna go pan, bo

du leżało na łokcie. Przez dach się lalo. Sami wszystko doprowadzili do porządku.

— Kto?

— Ano oni. Zespół.

— Jaki zespół?

— Uprzejmy dotychczas przewodnik nie odpowiedział na moje pytanie, a po chwili milczenia sam zapytał:

— Panie? Skąd pan przyjechał?

— Z Wrocławia.

— Aha! No, to może pan nie wie, dzieć, że nasz zespół świetlicowy znany jest nie tylko w kłodzkim, ale i w sąsiednich powiatach. Sławny zespół! Ho, ho!... Pozna go pan, bo

du leżało na łokcie. Przez dach się lalo. Sami wszystko doprowadzili do porządku.

— Kto?

— Ano oni. Zespół.

— Jaki zespół?

— Uprzejmy dotychczas przewodnik nie odpowiedział na moje pytanie, a po chwili milczenia sam zapytał:

— Panie? Skąd pan przyjechał?

— Z Wrocławia.

— Aha! No, to może pan nie wie, dzieć, że nasz zespół świetlicowy znany jest nie tylko w kłodzkim, ale i w sąsiednich powiatach. Sławny zespół! Ho, ho!... Pozna go pan, bo

du leżało na łokcie. Przez dach się lalo. Sami wszystko doprowadzili do porządku.

— Kto?

— Ano oni. Zespół.

— Jaki zespół?

— Uprzejmy dotychczas przewodnik nie odpowiedział na moje pytanie, a po chwili milczenia sam zapytał:

— Panie? Skąd pan przyjechał?

— Z Wrocławia.

— Aha! No, to może pan nie wie, dzieć, że nasz zespół świetlicowy znany jest nie tylko w kłodzkim, ale i w sąsiednich powiatach. Sławny zespół! Ho, ho!... Pozna go pan, bo

du leżało na łokcie. Przez dach się lalo. Sami wszystko doprowadzili do porządku.

— Kto?

— Ano oni. Zespół.

— Jaki zespół?

— Uprzejmy dotychczas przewodnik nie odpowiedział na moje pytanie, a po chwili milczenia sam zapytał:

— Panie? Skąd pan przyjechał?

— Z Wrocławia.

— Aha! No, to może pan nie wie, dzieć, że nasz zespół świetlicowy znany jest nie tylko w kłodzkim, ale i w sąsiednich powiatach. Sławny zespół! Ho, ho!... Pozna go pan, bo

du leżało na łokcie. Przez dach się lalo. Sami wszystko doprowadzili do porządku.

— Kto?

— Ano oni. Zespół.

— Jaki zespół?

— Uprzejmy dotychczas przewodnik nie odpowiedział na moje pytanie, a po chwili milczenia sam zapytał:

— Panie? Skąd pan przyjechał?

— Z Wrocławia.

— Aha! No, to może pan nie wie, dzieć, że nasz zespół świetlicowy znany jest nie tylko w kłodzkim, ale i w sąsiednich powiatach. Sławny zespół! Ho, ho!... Pozna go pan, bo

du leżało na łokcie. Przez dach się lalo. Sami wszystko doprowadzili do porządku.

— Kto?

— Ano oni. Zespół.

— Jaki zespół?

— Uprzejmy dotychczas przewodnik nie odpowiedział na moje pytanie, a po chwili milczenia sam zapytał:

— Panie? Skąd pan przyjechał?

— Z Wrocławia.

— Aha! No, to może pan nie wie, dzieć, że nasz zespół świetlicowy znany jest nie tylko w kłodzkim, ale i w sąsiednich powiatach. Sławny zespół! Ho, ho!... Pozna go pan, bo

du leżało na łokcie. Przez dach się lalo. Sami wszystko doprowadzili do porządku.

— Kto?

— Ano oni. Zespół.

— Jaki zespół?

— Uprzejmy dotychczas przewodnik nie odpowiedział na moje pytanie, a po chwili milczenia sam zapytał:

— Panie? Skąd pan przyjechał?

„REPORTAŻ O WSI“

F E S T I W A L

Sala Okręgowej Rady Związków Zawodowych powoli pustoszała. Ostatni widowiec występów wiejskich zespołów świetlicowych gromadzili się zwolna na przystanku tramwajowym.

— No, jakie pani odniosła wrażenie z festiwalu?

Zapytana wyduła pogardliwie ukarminowane usteczka.

— Przecież to skandal! te zespoły wiejskie. Po co one pchają się na scenę i to z takimi sztukami wystawianymi przez teatry zawodowe. — A zauważyła pani tego z tą spuchniętą gębą? No, w tej sztuce, którą wystawiał zespół z inowrocławskiego. I takiego na scenę dopuszczają!

A jednak takiego nawet ze spuchniętą gębą dopuścili na scenę. I co więcej, nawet ten zespół został wyróżniony na czwartym miejscu.

Ale zanim na deski sceniczne bydgoskiego ORZZ wystąpił i ten ze spuchniętą gębą i ten zespół który wystawiał te sztuki, do której rzekomo prawo ma tylko teatr zawodowy, stało się wiele, wiele rzeczy.

Wróćmy do początku, bo to, od czego zaczęliśmy to już tylko finał, zakończenie wielu tygodni żmudnej pracy, wielu rozczarowań, których nie brak było i w dwie minuty przed północą w górę kurtyny.

A było to tak.

— Ej Wojciechu! Wojciechu!

Idący błotnistą drogą wiejską chłop odwrócił się. Spieszący mu było do domu, bo mu Łysula niedomagala. A z krową to nie wiadomo. Pochoruje, pochoruje i już jej nie ma.

— Poczekajcie-no! — z opłotków niskiej chaty wyszedł na drogę Hieronim sekretarz organizacji partyjnej. — Na chwilę tylko.

Kiedy, Wojciechowi naprawdę spieszone było do domu.

Hieronim dostrzegł to.

— Ja tylko chciałem was spytać, czy nasza wieś też coś robi na ten festiwal?

Wojciech Pieron spojrzął niechętnie.

— A czy my to aktorzy, albo ja czyś artysty, żeby się bawić w teatr?

Hieronim uśmiechnął się.

— Ejże, Wojciechu, nie takie rzeczy się u nas robiło. Jest świetlica, to i zespół teatralny musi być. No, a jakby to było — dodał zachęcająco — żeby tak nasz zespół z Pałczyna gmina Złotniki Kujawskie pojechał do Bydgoszczy na ten... festiwal?

— Zawracanie głowy! Może ja z tymi swoimi czterema klasami szkoły powszechnej będę uczył jak występować na scenie, co? Tfu! Też macie pomysły!

Wojciech Pieron odwrócił się i ruszył szybkim krokiem. Sekretarz machnął ręką.

— I gadaj tu z takim!

To był początek. Związek Samopomocy Chłopskiej przygotowywał festiwal sztuk radzieckich. Wojciech Pieron przewodniczący koła gromadzkiego we wsi Pałczyn gmina Złotniki Kujawskie powiatu inowrocławskiego otrzymał odpowiedź nie pismo. Że niby i z tego wsi mogą wziąć udział w tym festiwalu. Przesłali mu nawet spis tytułów sztuk teatralnych.

W pierwszy chwili to nawet zażartował.

— Słuchaj, stara — powiedział do swej wcale nie starej jeszcze żony — możebyśmy tak w dwójkę zagrali, co? Dopiero byśmy pokazali.

Zgłupiałeś chyba, zboreźniku stary! A byłeś ty chociaż raz w teatrze?

— A byłem w Bydgoszczy, podczas kursu partyjnego...

— No i co? To już aktorem jesteś, czy co?

Wojciech machnął ręką.

— Przecież ja zażartowałem tylko.

Po chwili milczenia dodał.

— Żeby nam tak przysłali kogo do pomocy, takiego prawdziwego aktora, to kto wie, czy bym nie poprobowal i ja. Ech! Marzenia ściętej głowy!

Wyszedł z chaty. Czas było nakarmić siwka. Spojrzał dumnym wzrokiem po obejściu. Porządek u niego był.

Ale zapracował rzetelnie. Przecież nie tak dawno jeszcze bo w 1945 roku był wódcą bez pracy. A dziś dorobił się już. Ma 5 ha ziemi z parcelacji, budynki, mur, kaczek, gęsi. Dobrze mu się żyje.

Sztukę wystawić — przypomniał sobie — to głupota? A przecież i inne rzeczy się już robiło! Może by tak jednak spróbować?...

Ze stajni rozległo się rżenie konia.

Nie czas o głupstwach myśleć!

Przez tydzień Wojciech Pieron nie myślał o tym festiwalu. Co to właściwie znaczy — festiwal? Bo to przecież koń by się uśmieł. Chce niby też brać udział w tym festiwalu, a nie wie nawet, co to słowo znaczy.

Zapomniał już o rozmowie z Hieronimem na ten temat, kiedy, w sobotę to było, Hieronim przyszedł do niego wieczorem.

Siadł, poczęstował papierosem, pogadał o tym i o owym, ale Wojciech od razu zmiarkował, że on ma jakiś interes do niego, że to nie takie przypadkowe odwiedziny.

— No, powiedz, z czymżeś przyszedł? — zwrócił się do sekretarza.

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Z tym, że...

— Jeszcze z tym festiwalem.

— Dałbyś spokój!

— Posłuchaj mnie. Pamiętasz jak do szkoły chodziłeś?

— Czemu bym nie miał pamiętać?

— A na książki i zeszyty miałeś?

— A z czego. Kiedy ojciec parę dni w miesiącu u bambra służył, a matka na paraliż chora leżała?

— A uczyć się chce miałeś?

— Jeszcze dziś mam. I kiedy mogę, to się poduczę zawsze troszkę.

— No to w porządku.

— Co znaczy: no to w porządku?

— Zachnął się Wojciech.

— Teraz już wiem, że będziesz grać i że ty właśnie wystawisz nam sztukę.

— A skąd ty to wiesz?

— Bo widzisz, będziesz miał okazję nauczyć się czegoś. Posłuchajno. Rozmawiałem nad tym festiwalem i wy kalkulowałem sobie tak. Przecież na festiwal radziecki trzeba wystawić jakąś radziecką rzecz. Prawda?

— No prawda.

— Widzisz, a jak my wystawimy radziecką rzecz, to się i coś przy tym nauczymy.

— Niby czego? Jak na scenie chodzić?

— Żeby się nauczyć, jak na scenie chodzić, to możesz zagrać „Wesele panny Klary“ albo takie kawałki jak grali przed wojną ci z KSM-u pamiętasz przecież. A tu widzisz zupełnie coś innego. Tu my się nauczymy, jak żyją ludzie w Związku Radzieckim, jak pracują, jak...

— Czy tylko takie sztuki tam się znajdują?

— No, a może pojechałbyś do Inowrocławia i dowiedział się, co oni za sztuki mają. Zobaczylibyśmy, pomyśleli, a chętnych to by u nas się znalazło, co?

— Specjalnie do Inowrocławia nie będę za sztukami jeździł. Powiedzą jeszcze, że cyrkowca ze siebie robię.

Tak się złożyło, że następnego dnia Wojciech musiał pojechać do miasta.

Iść po te sztuki czy nie iść? Poszedł. Przemogła w nim chęć przeczenia czegoś nowego.

Chciał przeczytać tylko, nie potrzebując zaraz z tym festiwalem — pomyślał.

W Zarządzie Powiatowym znaleźli go sekretarze.

— A no, nareszcie jesteście. Bo myśmy się tu nawet założyli, że przyjdziecie do nas. No jakby to było, festiwal bez was?

Teraz to już nie wypadło odmówić. Wziął tam jakąś sztukę ko mu podsunęli — nawet na tytuł nie spojrział.

— No to zapiszemy i wasz zespół świetlicowy do festiwalu.

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

— A co to za sztuka?

— To jest sztuka...

Wpierw będą eliminacje tu w Inowrocławiu...

— A to co znowu? E-łimi-nacje to też festiwal?

— Nie! To taki niby egzamin. Który zespół okaże się najlepszy w powiecie, ten dopiero pojedzie do Bydgoszczy. Chyba pokażecie, co umiecie.

— Jak mi dacie aktora, to pokażę.

— Będzie i aktor. A wy przygotujcie tylko zespół.

— Dobra, zrobi się.

Jeszcze w drzwiach odwrócił się.

— Ale bez prawdziwego aktora to ani rusz.

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

— Zalatwi się!

ZACZEŁO SIĘ OD „BŁĄŻKA OPĘTANEGO”

(dokończenie ze str. 3-ciej)

przedstawić, jak: „W karczmie pod sroka”, „Potrójna narzeczona”, „Czartowska ława”, powtórzyliśmy „Błążka opętanego”, a dochód poszedł na sprzęt strażacki. Ulepszyliśmy w miarę możliwości „scenę”, kupiliśmy „kurtyne”, gdyż dotąd używaliśmy koców, lub prześcierań. Oczywiście zespół nasz nie miał do rozporządzenia urządzeń, dekoracji, czy kostiumów, jakie mają teatry w miastach. Wszystko, począwszy od sceny, a skończywszy na charakterystyce, było prymitywne, aktor musiał sam zrobić sobie odpowiedni kostium, sadził lub ołówek używał się do charakterystyki, dekoracje malowano kredkami, wapnem, sadzą itp., tak samo afisze. Programu nie było, w zamian za to wychodziłem na chwilę przed przedstawieniem i stanąwszy przed kurtyną opowiadałem króciutko treść granej sztuki, by widzowie lepiej mogli ją zrozumieć. W każdej niemal sztuce granej przez nasz zespół odtworzałem — a i żona moja również — trudniejsze role a równocześnie kierowałem innymi aktorami... Namacaliśmy się też solidnie przy tym — lecz nie było innej rady, — gdyż nikt nie chciał mnie zastąpić w kierowaniu przedstawieniem.

Mimo tych trudności i mimo, że praca w zespole tak mnie jak i żonie zabierała dużo czasu, nie pomyślałbym nawet o tym, by ją porzucić. Pragnąłem prowadzić rozpoczęte dzieło — tak długo, żeby o własnych siłach mogło trwać, z pożytkiem dla wsi — choć nieraz doznawałem różnych przykrości i niejednokrotnie drwiono i szydzono z nas, że zamiast pilnować domu, dzieci i gospodarstwa — my — to jest ja i żona — bawimy się w aktorów, wygłupiamy się itp. Nie zważałem na te docinki, nie opuszczałem rąk, lecz pracowałem — a z jakim niezadko mozołem, by wydobyc z aktora maksimum umiejętności, by rolę swą opanovał, wczuł się w nią i dobrze zagrał. Ilekroć przy zwracaniu uwagi grającemu — że ten ruch nie wyraża dobrze myśli zawartej w sztuce, lub — ten wyraz źle wymówiony — nie zaakcentowany, czy — to melodia fałszywie zaśpiewana — spotykałem się z uporem grającego, że nie będzie poprawiał, lub obrażał się i w końcu musiałem gościć się z tym co było, gdyż inaczej straciłbym aktora.

Wszyscy bowiem w zespole, byli amatorami — ochotnikami, grali bezinteresownie, nikt im nie płacił za czas stracony, trud i zdarte nieraz obuwie. Jedynie po przedstawieniu, otrzymywali aktorzy pojsiek, (bukła z wędliną i szklanke piwa), co było nieodzwonnie, jeżeli wzięli pod uwagę, że przedstawienie trwało dwie i więcej godzin, a aktorzy już od pierwszej po południu, przychodzili na generalną próbę, (na którą przychodziła dziesiąta do 15 lat za połowę, lub mniejszą opłatą), więc aktorzy od południa do 8-jej, czy 9-jej wieczór, byli naprawdę głodni i wyczerpani.

Który z aktorów zauważył, że nie byłem zadowolony z niego, czuł się wielce obrażony i zaraz chciał oddawać „rolę”.

Skutki pracy naszego „zespołu” nie dały na siebie długo czekać. Mieszkańcy naszej i sąsiedniej wsi, chętnie uczestniczyli w przedstawieniach, które dawały im temat do rozmów przez cały dzień. Ale były jeszcze i inne dowody, że dobrze się stało, iż — zawiązaliśmy „zespół”. Bo oto sąsiednie wsi, jak: Siepraw, Czechówka, Stojanice, tworzą z siebie zespoły teatralne, by tamtejsza ludność miała we własnej wsi „teatr”. Siepraw buduje „Dom Ludowy” z wielką salą i sceną do przedstawień. W Czechówce i Stojanicach urządzają przedstawienia w salach szkolnych.

W Sieprawiu „zespół” był najsilniejszy liczebnie (ok. 30 aktorów) i przedstawienia urządzano często, a to, że „zespół” trzymał się i rósł na siłę, przypisać należy temu, że mieli własną salę i scenę, mieli „dom”, podczas gdy inne zespoły zależały od „widzi mi się” danego zarządcy domu, gdzie odbywało się przedstawienie.

W 1930 roku nie było tłoku na sali w czasie przedstawień, jak w latach poprzednich. Pytałem tego i owego, dlaczego nie było na przedstawieniu? „Ha!”, mówią mi, nie ma forsy, pilniejsze inne potrzeby, niż przedstawienie. Frekwencja wyraźnie malała. Raz tylko był tłok, jak nigdy, gdyż tak się złożyło, że zespół miał odegrać nową sztukę: „Kozłowiecki Sherloki Holmes”, gdy wtem na ten sam dzień, na dwie godziny przed „seansem” ogłoszono wielki wiec. Zjechało trzech przedstawicieli („naganiaczy” jak się ich nazywało), ówczesnego B. B. W. R. i w naszej sali, ze sceny, poczęli wygłaszać płomienne mowy, zachęcając ludność do głosowania na listę Nr 1.

Ludność na ogół nie była wyrobiona politycznie, lecz ciężka do ludowców, wyśmiała więc i wydrwiła „tych bebesynów” (jak zwano B.B.W.R.) tak dalece, że za godzinę już ich nie było, a „jedynek”, które zostawili, użył zespół w czasie przedstawienia, do różnych „psich figlów”. Było to nadprogramowe, lecz jakże pocieszenie wyglądał „Domin” (utonna postać z utworu „Sherloki”) oblepiony jednokami na całym odzieniu... Umiął zaś tak nimi manipulować, że publiczność szalała z uciechy.

Biedak omal nie dostał się potem do kozy, gdyż ktoś „usłużył” doniosł o tym, lecz jakoś mu uszło.

Ucierpiał na tym i zespół, gdyż później nie chciano udzielać zezwoleń na przedstawienia i z trudem je otrzymywaliśmy.

W 1931 roku zawiązał jeden z tych „Bebesynów” sławnego „Strzelca” odbierając mojemu „zespolowi” kilku zdolnych aktorów, którzy skuszeni obietnicami owego „bebechowca” — (umiał zachęcić wodką, papierosami, nadskakiwaniem), zapisali się do „Strzelca”. Oczywiście „Strzelec” i twórca jego, byli wyróżniani i wszędzie mieli znaczenie, toteż wkrótce dali się we znaki zespołowi amatorskiemu. Nie długo trwało, a zaczęli urządzać zabawy i przedstawienia w dość dużej sali, zbudowanej przy domu owego komendanta „Strzelca” — (bo po zawiązaniu „Strzelca”, twórca jego otrzymał nominację na komendanta), a zyski z tych imprez zgarniał oczywiście „komendant”.

Natomiast mój zespół, począł się mi rozlatywać, ciągnięto moich aktorów do „Strzelca”. Na domiar „sala”, w której mój zespół urządzał przedstawienia, nie reprezentowała od szeregu lat — (zaciekał dach, powały gnily i niebezpiecznie obniżały się) — runęła wraz z powalą i dachem. Na próżno niejednokrotnie wniosłem prośbę do Komitetu parafialnego, który był kompetentny w tej sprawie, o podjęcie remontu sali. Komitet wzruszał ramionami i mówił, że sali używa „straż” do swych celów, niech więc remontuje. Straż znów, na moją interwencję odpowiedziała, że nie może inwestować w salę pieniędzy, gdyż ta jest własnością parafii, a zgody na wspólny wysiłek i koszt nie było. Komitet zwał na straż, a ta odwrotnie, budynek zaś nie czekał i zwał się. Był to straszny cios, dla „zespołu”, gdyż budynek rozebrano, a zespół utracił „dach”.

Z chwilą zburzenia sali, życie zespołu zostało przekreślone z wielką szkodą dla wsi, gdyż bądź co bądź, praca oświatowa „zespołu”, przyniosła i dała niejaki rezultaty, choćby te, że pobudziliśmy inne wsi do podjęcia podobnych imprez, do tworzenia zespołów — wieś poczęła zwalczać ciemnotę i zacofanie.

Nie dałem jednak za wygraną i podjąłem nowe zabiegi, by nie dopuścić do rozpadnięcia się mego zespołu. Zwróciłem się do Kierownictwa Szkoły w Zakliczynie i uzyskałem pozwolenie na urządzenie przedstawień w nowym budynku szkolnym.

Znajdowała się w nim duża sala (9x5 m) i mimo szukan i przeszkód ze strony „Strzelca” (że w sali szkolnej nie wolno urządzać przedstawień), wystarawszy się o pozwolenie i uzupełniwszy braki w zespole, przyjęciem nowych „amatorów”, poczęliśmy urządzać przedstawienia z tym, — że dochód z jednego obracaliśmy na straż, a z drugiego na bibliotekę szkolną.

Na nowym miejscu „zespół” pracował około dwu lat, dając szereg przedstawień i urządzając akademie, gdy zdarzył się niemiły wypadek, który na zawsze wyrugował zespół z tej, z takim trudem uzyskanej sali i uniemożliwił korzystanie z niej.

Oto w czasie jednego (i ostatniego już) przedstawienia, nie wykryci sprawcy, złodzieje, zakradli się do innej sali szkolnej, gdzie stały szafy z pomocami i przybarami szkolnymi i wyłamawszy drzwi do jednej, w której mieścił się sklepik, skradli większą ilość piór, ołówek, zeszytów i innych przedmiotów. Nazajutrz nauczycielka spostrzegła kradzież, doniosła o tym policji, było śledztwo i dużo szumu, sprawców nie odkryto, straż musiała wyrównać straty (które nie były wielkie) i musiała zrezygnować z urzędowania w szkole przedstawień.

Były poszlaki, że grabież umyślnie sfingowano, by odebrać zespołowi salę, gdyż ten przeskadzał „Strzelcowi”, jednak nie można było tego dowiedzieć.

Tak więc z końcem 1933 r. zespół utracił ostatnią „ostoję”. Nie było już gdzie urządzać przedstawień, nie mieliśmy gruntu pod nogami i zespół rozpadł się. Żal wielki mnie ogarnął, bo miałem naówczas około 20 osób wyrobionych, zgranych, na których można było polegać, nie obawiali się najcięższych ról.

Wprawdzie trudnych i zawiłych sztuk nie graliśmy, przeważały komedie, farsy, intermedia ucieśne, bo ludność takie rzeczy chwaliła, gdy było dużo wesołości i śmiechu.

Gdy nasz strażacki „zespół amatorski” przestał istnieć za sprawą „zespołu Strzelca”, który przez kilka lat następnych rej wodził we wsi, gdy jeszcze w dodatku Koło Młodzieży — złączone ze Strzelcem — widząc, że moja działalność skończona, z przykrością i żalem usunąłem się i wycofałem z życia społecznego wsi, usunąłem się również ze straży, gdyż znieść nie mogłem, że ludzie jednej gromady, zamiast wspólnie pracować dla jej dobra, szkanowali się wzajem, rozbijali wszelkie inicjatywy, każdy szlachetny wysiłek czy myśl zohydali i na każdym kroku jedna organizacja starała się szkodzić drugiej.

Takiej rozbijackiej i demagogicznej roboty, nie uznawałem i usunąłem się od pracy społecznej — zajmując się wyłącznie swoim gospodarstwem. JÓZEF FIREK

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

WIERSZY O KOMUNIE PARYSKIEJ

INTRODUKCJA

Kiedy się domy wała w gruzy
Kiedy ruiny są jak wdowy,
Wtedy wśród ruin błądzą muzy
To muzy przyszłej odbudowy.

Gdy w proch runęłaś na ulicach
Pod latarni trwożnym migotaniem,
Już wtedy muza gniewolnica
Widziała twoje zmartwychwstanie.

Sądziłaś, że już siwa Parka
Chłodem swych nożyc cię zabiła,
Lecz muza fabryk w twoich

[parkach
Nowy czerwony sztandar szyła.

Błądząc po krwawych twych
[przedmieściach
Gdzie zastygł w górze grom

[barykad,
Ona i męska i niewieścia
Grała ci przyszłość jak muzyka.

W fabrycznych dzieci oczy zgasił,
Co niby drzemia, lecz nie drzemia,
Płomiennym zagładałaś hasłem,
Wzlotem wysokich dni nad ziemią,

Komuno, wtedy już wiedziałaś,
Że żadna cię nie zwali kłeska,
Z sandałów bowiem nie ścierałaś
Ziem, do łez, do reszty — ziemską.

ZBURZENIE

KOLUMNY VENDOME
16 MAJA 1871 R.

Jej czoło w chmurach, imię —
[dumne,

Wzlot ciemny i zuchwały
Komuna burzy tę kolumnę
Napoleońskiej chwały.

Jak metalowy wróg pobity,
Runęła na kolana.
Z nią 1200 dział zdobytych,
Z których była odlana.

Nie orły, lecz paryskie wróble
Z jej szczytu przeleciały
Na dach, gdzie oblok lśni obłudnie
Jakoś fałszywie biały.

Runęła i jej każde włókno
Rozbiły sere pociski,
Podciął drapieżną jej wysmukłość
Kanciasty lud paryski.

Bo nie na placu ona stała,
Nie na paryskim pyłe,
Lecz na żołnierskich martwych
[ciałach,

Na bratniej ich mogile.
A gdy runęła w proch zuchwała
Smukłością do stóp wnuków,
To nie kolumna — to leżało
Cesarstwo już na bruku.

BALLADA O GENERALE WALERYM WRÓBLEWSKIM

Motto: W inną Polskę niż ta,
którą lud nasz pracowitymi
rękoma z grobu podźwignie
— nie wierze.

Walery Wróblewski

Niebo Paryża jak wojna,
Całe w płomieniach i w dymach,
Fort Issy się nie poddaje,
Front Issy jeszcze się trzyma
Cztery ataki odpiera
Wróblewski — bitny generał.

On, który broni fortów
Z rewolucyjnym wojskiem,
Choć noc wroży rychłą kłeskę,
Wierzy w Komunę, jak w Polskę,
Która ludowe siły
Podźwigną do życia z mogiły.

Już nieuchronna kłeska
Jak ciemne widmo się zbliża.
Wdzierają się wersalczy
Przez bramę Saint-Cloud do

[Paryża.
Padł lew, kulami przeszyty,
Padł Montmartre przez nich

[zdobyty.
Wróblewski cało uchodzi
Ze swym oddziałem po gruzach

I z nowym planem walki
Zjawia się u Delescluse’a:
„Stoczyć bój niespodziany
Na lewym brzegu Sekwany.”

Wróblewski jeszcze chce walczyć,
Wróblewski jeszcze się ludzi:
„Czy dasz, obywatelu,
Choć tysiąc walecznych ludzi?”
Delescluse odpowie z żalem
„Mam trzystu ich, generale...”

Majowa noc jest jak ogród,
Cały w żałobnych kwiatach.
Pijani krwią wersalczy
Znow przypuszczają atak.
Padając na most Austerlitzki,
Świszczą wersalskie pociski.

Majowa noc jest jak cmentarz
Lecz w sercu męstwo i hart.
Ostatnia barykada
Na placu Joanny d’Arc!
Domy i drzewa płoną,
Wróblewski kieruje obroną...

Pod murem federatów
Wróblewski w grobie leży,
Choć padła Komuna Paryska,
On w nią jak w Polskę wierzył,
W ludową, pełną siły
Podźwigniętą z mogiły.

LISTY

JAROSŁAWA DĄBROWSKIEGO
Gdy nad Paryżem groźnym

[cieniem
Buldogonosy rośnie Bismarck,
Dąbrowski pisze. Jak płomienie
Płoną litery w jego pismach.

Oto horyzont coraz dalszy
Otwiera mu się przed oczyma:
On chce za lud francuski walczyć,
Jak broń on pióro w ręce trzyma.

Gdy gniew, jak owoc, w nim
[dojrzewał,
Marsyliankowy i czerwony,
Ze słów on działa już odlewa,
Ze słów formuje bataliony.

Przydając karnym słów szeregom
Mądrość stratega — komunarda,
On pisze do Garibaldiiego,
Ze go porywa walka twarda.

I ostro krytykując Thiersa,
Który chce Paryż poddać

[Niemcom,
On, jakby okno ktoś otwierał,
Otwiera w liście swym zwycięstwo.

On nie chce siedzieć tu beczynnie,
Lecz z ludem iść i walczyć dalej
I w dziejach, jak melodia

[w hymnie,
Należne sobie miejsce znaleźć.

Już świt na Paryż schodzi biały,
Już latarnie światła gasną
I słyhać w gromach kanonady:
„Za naszą wolność i za waszą!”

DUMA O ŚMIERCI

JAROSŁAWA DĄBROWSKIEGO
Nie dla laurów, nie dla nagrody,
Nie dla cześci, zuchwałej

[przygody,
Kiedy na wierzchoł go burza

[wyniosła,
Walczył tutaj Dąbrowski Jarosław.

Lud warszawski, czy lud paryski,
Jednakowo sercu był bliski.
On w Paryżu o Polskę Ludową
Walczył, usta zaciągawszy surowo.

Jego serce zdradzać nie umie,
Do ostatka wierne Komunie
I jak Wisła od wierzb rozplakana
Lśni mu luną pożarów Sekwana.

Wielkie serce meżne jak szpada,
Nieugięte, jak barykada
A gorące jak wystrzał

[z moździerza,
Jednym rytmem z Komuną uderza.

Wersalczy już na Montmartrze,
Lecz ma Montmartre w sercu tym

[tarczę,
I odiera ajaki wersalskie,
Podbijając nierówną walkę.

A gdy z polskim wiatrem we

[włosach
Padł od błędnej kuli Jarosław,
Szepnął: „Serce na wielki tu

[kłada...
Bo i z serce można wznieść

[barykade.
Niech żałoba was nie ocenia,
Moje życie nie ma znaczenia.

Choć śmierć szpadę z rąk mi
[wytrąca,
O republikę walczyć do końca!”

O republikę walczyć do końca!”

Komunardzi odważni placzą
Nad Polaka śmiercią tułaczą,
Ulicami Paryża żałobny
Sunie kondukt, do chmury

[podobny.
I na wielkim placu Bastylii
Każdy czoło przed trumną chyli

[zorzy
I z pochodni czerwienionych od

[Paryża.
Lud paryski kaplicę utworzył.

Tak Dąbrowski — komunard

[Polak,
O Republikę walcząc, poległ.

PIOSENKA O CHLEBIE KOMUNY PARYSKIEJ

Walką paryski nasiąkł trotuar
Z groźnych barykad szeregiem.
Chleb zajądając strzelał komunard.
Spoza kamieni i cegieł.

Strzelał i myślał, patrząc na dymy,
Który się snuł po placu:

„O chleb i szczęście ludzkie

[walczymy,
Oni — o zbytek pałaców...”

Pułki wersalskie w zwartych

[szeregach
Ku barykadzie pobiegły.
Poległ komunard, niedojadł chleba
I leżał chleb przy poległym.

A obok, cały w łunach pożogi,
Stał pałac na kształt olbrzyma
I patrzył pałac na chleb ubogich
Wrogimi okien oczyma.

MURY PARYSKIE MAJĄ GŁOS

Powiadasz, że te mury milczą, jak kamienie,
Pełne kurzu i ciszy,
Lecz wsłuchaj się w zawzięte, twarde ich milczenie.
A gniewny głos usłyszysz.

Słyszysz! Gdy strajkujący lud, jak ciemne chmury,
Z bulwarów się wylania.
Wtedy jak gorzkie chóry grzmiały paryskie mury,
Chórowi chór oddzwania!

I pamięć, jak fabryczna wychudła dziewczyna,
Staje pod każdym murem.
To pamięć dawnej rzezi. Ona rzeź wspomina
I pieśń podaje chórom.

Śpiewają mury: „Tutaj pod ciosami Thiersa,
Rażony salw piorunem,
Paryski lud jak tytan walczył i umierał
Za wolność, za Komunę.

Gdzie cień, jak czarna wstęga, leży pod starą ścianą,
Którą wilgoć okryła,
Po trzystu ludzi naraz tu rozstrzelowano,
Ta cisza — ich mogiła.

I zdarza się, że chmura lub ptak albo woda
Czerniącej się Sekwany
Deszczem, lotem lub szumem śmierć męczeńską odda,
Odda jęki i rany.

Lecz gdy śmiercią i męką przemawiały do nich
Mitrالية groźne gardła,
Wraz z ostatnim oddechem wyrzucali oni:
„Komuna nie umarła!”

KOMUNA NIE ZGINEŁA!

Jest szeroka kraina, gdzie wiatry północy
Są jak mknące po stepie rozwiergane konie,
Gdzie jeśli pieśń zadźwięczy, to pieśń pełna mocy,
Gdzie jeśli serce płonie, to potężnie płonie.
Tam Nowa srebronoluska, tam Jenisiej płynie,
Tam wodną grzywą trzęsie Dniepr — kobzarska rzeka,
Ale posłuszne woli prostego człowieka
Te wiatry i te rzeki są podobne glinie,
Którą człowiek ulepi według swoich pragnień:
Rzeki skieruje wyżej, wiatry niżej nagnie.

Ta szeroka kraina — to radziecka ziemia,
Gdzie człowiek się codziennie w tytana przemienia
I na miarę swych potrzeb w walce najzaciętszej,
Jak wichur — dał, rozszerza ludzkie swoje wnętrza
Rozkaze — i urodzaj zwiększy się w dwójnasób,
Rozkaze — i na stepach masz szczenię lasów.
On zmieniając klimat na rodzimę ziemi,
Klimat ludzkiego serca w gorętszy przemieni

Gdy ktokolwiek po kłesce Komuny Paryskiej
Mógł powiedzieć, rozpacz lub obłędu bliski,
Że Komuna umarła pod ciosami miecza,
Ta szeroka kraina słowem tym zaprzecza!
Tu wysokich kominów niezużone gardła
Wołają w świat: „Komuna żyje! Nie umarła!”
Tu każdy kłos, podając sierpom złotą szyć,
Dojrzałym ziarnem woła, że Komuna żyje!
Grzmi ruda syberyjska, woła stal i węgiel:
„Komuna nie umarła, lecz rośnie w potęgę!”
Ręka, co na traktorze sterze się oparła
Każdym palcem i żyłą mówi: „Nie umarła!”
„Nie umarła!” — wołają stalingradzkie działa,
W których huku Komuna zwycięstwem zagrziała!

Komuna nie umarła! Bo czy świt umiera,
Gdy go przesłoni ciemność, niewidoma, mglista?
Po nocy on płomienne wrota znów otwiera.
Ciemność mówi „on umarł”. Patrzysz on zmartwychwstał
Komuna zmartwychwstała w radzieckiej krainie,
W jej ludziach i w jej pracy, w miastach niezliczonych,
W wodzu mas robotniczych, co ma dumne imię
I po nocach na Kremlu czuwa za milionami.

Komuna zmartwychwstała w sztandarów szeleście
W Pradze Czeskiej, w Warszawie, w Sofii, w Budapeszcie,
W Republikach Ludowych grzmi jej krok zwycięski
I w sercach robotników całej kuli ziemskiej.

Polski murarz, co z ruin podźwignął Warszawę,
Polski górnik, co w węglu rzeźbił los człowieka,
Rolnik, włóknarz, kolejarz, stolarz — wszyscy oni,
Ludzie o dobrym sercu i o dobrej dłoni,
Którym przyszło tak długo na socjalizm czekać
Pośród nocy i wichrów, w faszyzmu piorunach —
Zaświadczać swą pracą, że żyje Komuna!

Wielka ziemia Kościuszków, Dąbrowskich, Wróblewskich,
Piękna ziemia męznego, jak prawda, Waltera
Woła wśród pól kujawskich, wśród pól mazowieckich:
„Komuna nie umarła! Dobroć nie umiera!”

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK



CZTERY REFORMY

(dokończenie ze str. 5-tej)
IDZIE DO ŁĘKINSKA NOWE

Rok 48 należy już do dalekiej przeszłości. Od tamtego zebrania w stodołę, wiele się znowu w Łękinsku zmieniło. Wieść, że parcelanci rozchodzą się na swoje gospodarstwa, że porzucają gospodarke wspólną, wpłynęła uspokajająco na działające podziemie. Ustąpiły napady, zaprzestano wywracania ukradkiem sosnowych kołków. Bogacze wiejscy, którzy w większości byli właśnie inspiratorami tych wszystkich zająć, odetchnęli z ulgą. „Spółdzielniańska” w Łękinsku przestała być dla nich postrachem.

Ale działkowicze nie rozeszli się na własne. Przeczekali do zimy, a potem sosnowe, nieocieczone kolki znowu rzedem wyrastały na polach dworskich. Nikt im już nie przeszkadzał przy zabijaniu kołków. Podziemie przestało prawie istnieć, bogacze wiejscy poculi siłę zwartę, mocnej klasowo gromady. Zbierali się teraz dawni robotnicy dworscy w świetlicy na zebrania gospodarce i partyjne, bowiem organizacja robotnicza wyszła w teren do robotnika rolnego, mocniej się z tym terenem związała, zbierali się teraz w świetlicy by posłuchać referatów, poczytać gazety i książki. W świetlicy gromadziła się młodzież zrzeszona w nowo założonym kole ZMP. Życie organizacyjne poczyniło stopniowo tętnić w Łękinsku. Robotnicy dworscy nie czuli się już samotni.

A przecież gdyby byli rozeszli się, przestaliaby istnieć ich siła. Poszliby na swoje własne, na te „gospodarkę pańską”, o której tak marzył Stefan Kozłowski. Ale nie oparli byliby się biedzie, która czołżyła na nich wraz z bogactwem wiejskim. To „własna” stałaby się dla nich przekleństwem.

Zostali przy wspólności. A wraz z tą ich wspólną siłą, która oparła się wrogowi klasowemu, do Łękinska dawnego dworu zaglądnęło „nowe”.

Przyszło do chałupy Baksy wraz z pierwszym oficjalnym zebraniem, omawiającym prawdziwy statut dla „nie dziękuję”, a prawdziwej spółdzielni produkcyjnej. Trudno się im było zdecydować, bo świeżo mieli w pamięci walkę, jaką stoczyli o te ich „dziśnią spółdzielnię”. Co by było, gdyby tak powstała prawdziwa?

Ale poczucie tego „nowego” zostało im po zebraniu. Długo jeszcze, aż zaskoczył ich świt, radzieli nad tym „nowym” po zebraniu w chałupie Baksy. Może to i dobrze by było?... zastanawiali się.

Ale nie. Wszędzie nie przystąpią do spółdzielni, jak nie zobaczą już takiej pracującej. Pojechali przeto do Konar. Zobaczyć na własne oczy jak tam żyją dawni farnale, ordynariusze i dnikowki. Zobaczyli i przekonali się.

W Łękinsku nie ma jeszcze prawdziwej spółdzielni produkcyjnej. Czwarta reforma zrodziła znowu „dziśnią spółdzielnię”. Ale czy możemy uprzedzać fakty?

Moje wędrowki do Łękinska nie skończyły się na tych czterech reformach. Sądzę, że jeszcze nie raz zaglądnę do Łękinska, do dworu wraz z czytelnikiem. Bo czyż możemy przewidzieć i być pewni, że z tym „nowym” które zawitało w końcu 1949 roku do czworaków dawnego majątku, nie idzie następna, daleko lepsza, piąta reforma, niosąca tym ludziom dalszy, pomyślniejszy etap w ich życiu?

Tadeusz Szewera

W NUMERZE 12 (243)

Tygodnika „Wieś” z dnia 26 marca 1950 r.

Henryk Worcell — Rewolucja w Guranowie. I nagroda za „reportaż o wsi”. Kazimierz Debnicki — Wiek XX. Stefan Atlas, Stanisław Wygodzki, Wanda Markowska, Piotr Greniuk. — Głosy członków Jury. Marcin Wielgus — Wielki międzynarodowy. Kłara Zetkin — Polski przyjaciel niemieckiego proletariatu. Michał Golodny — Salut. Julian B. Marchlewski — Fizjokratyzm w dawnej Polsce. Stanisław Płoski — Praca naukowa Marchlewskiego. Arnold Slucki — Wieszcie. Jan Kryza — Wielkie kadry specjalistów. Leonard Sobierajski — O literackim wizerunku. Edmund Nizurki — Topiela. Władysław Blachut — Jeszcze o rewolucji kulturalnej wsi. Walery Osmenda — Robotnicy z woli Zaborczowskiej. Dobrosław Klimiek — Dokąd pojedą pisarze. Wys — Ogólnopolska wystawa plastyki. 14 ilustracji, 8 stron.

SPROSTOWANIE

W artykule Witolda Łukaszczyka pt. „Stanisław Gabriel Worcell na tle epoki” w Nr. 11 (242) „Wsi” wstrząsnęły się błędy zecerańskie, które niniejszym sprostujemy:

1. Wiersz czwarty motta winien brzmieć: „Ich wrzask, ich imię, ich lament — to hasła”.
2. W wierszu piątym od dołu na łamie drugim zamiast „zachodu Rosji” winno być „Zachodu i Rosji”.
3. W wierszu czterdziestym od dołu na łamie czwartym zamiast „centralnej” winno być „centralnie”.
4. W wierszu 64 od dołu na łamie drugim zamiast „Ruścem” winno być „Recesem”.

ZBIGNIEW KWIATKOWSKI

N O W E

Nagroda „na reportaż o wsi”

Majchrowski:

— Wiedziałem. Posyłał mi tam nasze konie. Wrócił i powiedział, że trzeba kaucję na beczki. Przecież myśmy ją dali — mało było? Konie się zgonyli... przyszedł z pustym wozem.

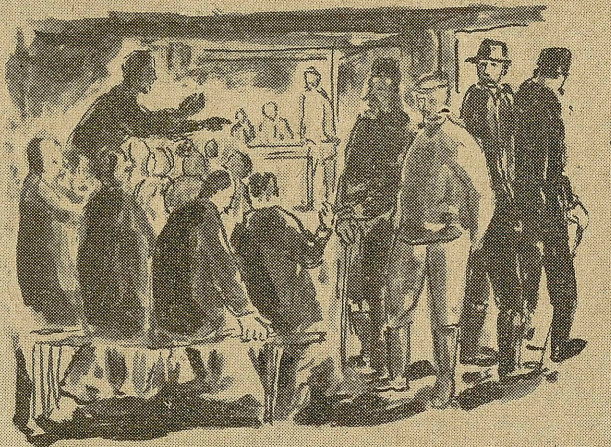
— Byli! Ale wasz furman nim przyszedł do magazynu, to jeszcze w drodze gdzieś zmieł. Przyszedł do spółdzielni pijany — u mnie też był, wiedziałem sam... Kogo przysyłać?

Majchrowski tracił Stankę; teraz rozumiesz? Znowu pił...

Siedzą i patrzą: jeden w okno — dopiero druga, a już szaro — inny w ścianę. Nieporadnie do niej przyłączone biegnie sznur elektryczny przewodu. Płec od dołu — rozpała się od czerwoności. Domagała do Leśniewskiego:

— Jutro posłamy dwie furmany — pojedziecie Mietek?

— Pojadę.



mną — twarze mówiły: kim jesteś? — potem z resztą. Przystawiano do kawy, kuchnia piecyk, przed chwilą napalony, zaczynał grać. Wysycha skóra mokrych butów, co w połączeniu z gęstym zaduchem parującym ze świetlicznej odzieży, czyni ten obcy dom bliższym.

Rozmowa nieobowiązkowa, to znaczy o rzeczach, których ocenę przez ludzi obcych — przez nas — można z góry przewidzieć, przechodzi w mniej kontrolowaną. Jakichś sprawy, które w pierwszej fazie wydawały się nieważne, albo zostały przemilczane, teraz stają się równorzędne. Czekam, aż wyjdą na plan pierwszy.

A tymczasem pytam o sprawę, zadaje pytania, na które z góry domyślam się odpowiedzi. Najchętniej odpowiada Domagała. Starzec, ręce — kiedy nie wsparte o oparcie krzesła — całe „chodzą”. Odpowiada, kreśląc to szeroko, haczykami starczej pamięci wyciągając rzeczy ważne dziś i takie, których ważność stała się na mierze w trybach tamtej, pierwszej wojny.

Urodził się tu, potem — rok 1902 — pracował w Zagłębiu, w kopalni „Renard”, dalej „Fitzner i Gampner”. Z tym łączy się jego przejście z klasy niewykwalifikowanych do fabrycznego rzemiosła. Tu pracuje jako kotłarz — stąd przytypony słuch — styka się z ruchem robotniczym. Spotkanie jest owocne: pięć lat zesłania na Syberię.

Mija młodość; środek życia: wojna, aresztowanie przez wojskowe władze armii carskiej za działalność sięgającą jeszcze okresu zagłębiowskiego, wyrok śmierci, ucieczka, okres międzywojenny... — to Józef Domagała.

Buchaltera Jana Gajkowskiego pytam: był pan w Ameryce? Zdziwienie: skąd wiem? Okularów typu noszonego przez Gajkowskiego u nas nie ma. Te sześcioboczne płytki szkła, osłaniające blyskami jego oczy są doskonałym drogowskazem w jego przeszłość.

Wiek był w Ameryce. Wyblakłe oczy za rzadkimi rzęsami, jaśniejszymi od skóry, wyjaśniają resztę: pracował w stalowni. Majątku nie przysięgł. Przywiózł rzecz — czy nie ważniejszą? — perspektywę w spojrzeniu na świat.

Majchrowski — ten najbardziej oporny. Gładki. Wygolona pełna twarz nawet przy kruczo-czarnych włosach jest śniada. Rysy dalekie od regularności. On — ledwie, mimo ciepła, nie ściga czarnego, nieskazitelnie wyczyszczonego płaszcza. Jest zastępcą przewodniczącego zarządu spółdzielni, ma za sobą jednoroczną szkołę rolniczą. Tę przegryźć trudno — ale może on sam rozpuścić się jak orzech?

Obok mnie siedzi Stankę. To jeden z założycieli spółdzielni. Nie o nim nie wiem. W wieku Majchrowskiego, nawet z wyglądu do niego podobny. Przyszedł też razem.

Ta grupa — to tło. Wiem: później się różniczkuję, wyjaśnij; jak na zasłanym śniegiem polu w odwilży, w słońcu, wychodzą czarne linie miedzy — tak tu wyjdą powiązania, nici.

Mówi Leśniewski: — Majchrowski — w Krakowie już zapłacone czekają na was papi i lepić. Przecieście wiedzieli, że są?

branie. Za stołem przydługim Domagała, Majchrowski, Stankę. W jednej z pierwszych ławek Celban. Wąsy jak skrzydła. Na wysokich butach grudy ziemi.

— Wyjaśnijcie sprawę własności gruntu — mówi Celban nie wstając.

Zza stołu podnosi się Majchrowski. W ręce „Statut Spółdzielni Produkcyjnej” — sprawa własności ziemi — strona 18. Majchrowski zna te paragrafy na pamięć, ale woli je czytać.

Paragraf 2 — ziemia. Użytkowanie ziemi w spółdzielni odbywa się na następujących zasadach: wszystkie grunty orne oraz inne użytki i nieużytki, lasy i wody posiadane przez członków spółdzielni, łączą się celem wspólnego gospodarowania — z tym, że każdy członek spółdzielni zachowuje prawo własności swego wkładu gruntowego i prawo przekazania go swoim spadkobiercom. — Majchrowski czyta powoli, każde słowo z oddzielną, wyraźną. — Syn lub córka członka spółdzielni jeśli wstąpi w związek małżeński i pozostanie na wsi jako członek spółdzielni, może mieć uchwałę ogólnego zebrania przyznając osobny grunt pod zagrodę i działkę przyzagrodową... W razie wystąpienia lub wykluczenia członka ze spółdzielni otrzymuje on zwrot swego wkładu gruntowego przez wydzielanie dlań gruntu o tej samej wartości na skraju gruntu spółdzielni.

Majchrowski potknął się o to dziwne słowo: dlań — ale przeszedł go i czytał dalej:

— Członek przystępujący obowiązany jest wnieść ziarno siewne i sadzeniaki w ilości...

Celban podparł głowę rękami — palak palców wyrósł wysoko nad nią — słucha. I on pamięta — słowo po słowie — paragraf 2. Zna treść broszury, pierwszej w życiu przeczytanej książki, ale słucha jeszcze raz, słucha uważnie.

Wie, że z nim razem słuchają inni, ci którzy statut spółdzielni tłumaczą inaczej, wykładają go krócej: Ziemię ci wezmą — co będziecie żar? Trawę na przykopy?

Oni też tu przyszedł. Stoją słuchając przy wejściu. W pierwszych rzędach luźno — ale oni tu nie przyszedł. Stoją w gromadzie odgrodzeni od reszty murem, który tu, na tej sali, wyrastał, żeś — stwardniał. W ławach kto? Niezda, średniacy: 3 hektary, 4, ćwierć — dwóch, może trzech pieciohektarowych. W kacie: śmietanka; właściciel motora do młóczarni, młynarz — działość to, ale zawsze młyn... — siedmio, ośmiohektarowy. I w przedydmu mają swego. Między Majchrowskim a Stankiem siedzi Stanisław Gajkowski. Przewodniczy. Udziały głosu... obiektywnie: i tym z ławek i tym z kątów, spod drzwi. Tym ostatnim nawet cichniej. I nie niecierpliwi się tak, kiedy oni mówią, ale bo i mówią inaczej, nie pytają naiwnie, tak jak Celban — o to samo po raz trzeci. O, choćby teraz:

— Dość, dość Majchrowski! Co i jak — wiemy. Czytać umiemy, a ci co czytać nie umieją, niech do nas na naukę przyjdą. — Inny głos: My go już nauczymy...

Śmiech: Przebiega jak drżenie po skórze konia: ciuchutki — jeszcze szmer — potem dygocenie — w ławkach cichnie. Marszczą się czoła ludzi w ławkach. Celban podnosi głowę, dzwiga ją ze spracowanych rąk — patrzy w kąt. I nie wstając:

— A czegoście się chcieli dowiedzieć?

Powietrze w sali teżeje. Gajkowski — ten z przedydmu, nie mieszając go z Gajkowskim buchalterem — przekłada łaskę z brzegu na brzeg stołu.

— Czego? — mówi ten, który chciał uczyć. Celban teraz stoi. Chłop chudy, wysoki. Skóra na wygolonej twarzy napięta, na wyraźnie rysujących się kościach bliższych. Widać pracę mięśni twarzy — kożuch na wrzącym mleku. — Chcemy wiedzieć jedno tylko: dla kogo ta spółdzielnia? Nam ona nie potrzebna!

Przewodniczący Gajkowski zarządził przerwę w obradach.

Wychodząc z sali zostawił — zwisającą na brzegu stołu — łaskę, wyszedł na dwór, wyciągnął tytoń z własnej uprawy — nie wszystko widać odstawił do monopolowego magazynu... skreślił papierosa, zaciągnął się. Podszedł do niego Stankę.

— Słuchajcie Gajkowski, przewodniczącym na zebraniu jesteście, a deklaracji członkowskiej jeszcze nie podpisałem... Jakże to? Może choć że dwa hektary z onych 26 co ich macie? Za zaszczyt, żeście przewodniczyli?... Gajkowski słucha, nie patrząc na Stankę.

— Nie. Nie zapiszę. — Nie? — Nie.

Po przerwie głos zabrał Stankę. Nawiązał do pytania rzuconego z kąta — przypomniał jej: komu potrzebna jest spółdzielnia? Tak myśle... — zaczął.

Przecież to ten sam Stankę co siedział przy mnie... Ale teraz —

to inny człowiek. Pękł jak orzech — wnetrze wybierzesz teraz ławo... Jest nas w izbie kilku, a ten mówi jak na wiecu. Nie, żeby głośno; zwyczajnie. Ale każde słowo jest twarde, rozgryziesz go: masz w ręce treść. Tak pewnie mówił i tam:

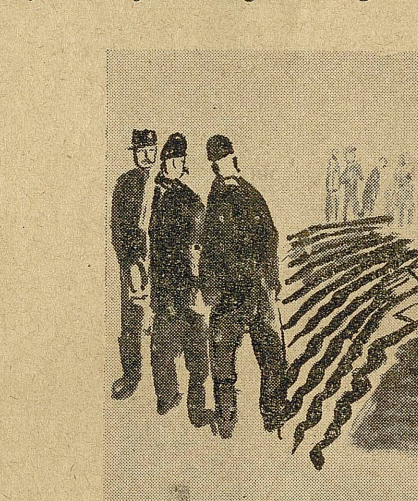
— Tak myślę, że nie wszyscy z tych co się w tej sali znaleźli, mają interes w spółdzielni. Pewnie tego interesu nie ma i przewodniczący naszego zebrania pan Gajkowski... Bo jakim się go przed chwilą pytał czy ze swoich 26 hektarów zadeklaruje na spółdzielnię choć dwa, odpowiedział: nie. Ale niech sobie pan Gajkowski nie myśli, że nas tym oświadczeniem zdziwił. Pamiętamy przecież czas, kiedy Gajkowski miał tylko 20 hektarów. Do tych 20 dopuścił 6... od kogo? Od tych, co mieli wszystkiego dwa... Na co jemu spółdzielnia potrzebna? Na nic. Jemu spółdzielnia przeszkadza — on się jej boi. Gajkowski wie, że spółdzielnia wzmocni, zwiąże średniaka, małorolnego — wie, że zaden z nich nie przyjdzie już na przednówku prosić o zboże, nie przyjdzie prosić o drogą pożyczkę do młyna, nie przyjdzie do tych, co to po kątach, tam przy drzwiach wczoraj wołali głośno, a dziś mówią szeptem: co? my z dziadami razem? my gospodarze? A Gajkowski — wiemy: on tu chciał gospodarzyć... Spółdzielnię i spółdzielców z torbami puścić! Ale pewnie ma za to podziękujemy, podziękujemy naszemu dobrodziejowi. Podziękujemy za udział w spółdzielni i tym, co chcą uczyć Celbana. My to zrobimy lepiej...

Kpina, drwiny to broń, która na wsi — często nadużywana — nie zawsze działa. Ale tu podziała: Gajkowski z zebrania poszedł, została po nim zwisająca z brzegu stołu łaska.

✱

Odbiegłszy tak daleko od toku opowiadania, poplątałyśmy porządek zawierając wprost z zimowego popołudnia w majowy wieczór. Ale przecież siedzimy cicho w tej samej izbie, z nami jak przedtem: Domagała, buchalter Gajkowski, Majchrowski. Te same osoby, ale nie ci sami ludzie... Teraz — razem z mną — dociekają historii ubiegłych wydarzeń za zasłony tysiąca szczegółów wynurza się powoli mechanizm zjawisk, odsłaniają fronty, zarysowują bohaterów, zarysowują ostro poszczególne role... O, choćby ta — księdza.

Po dwóch czy trzech zebraniach wybrał się do niego Domagała.



Wybrał się ze sprawą od spółdzielni daleką — chciał wybać grunt: można z proboszczem o tym pogadać? Okazało się, że ksiądz zorientowany w sprawie jak rzadko: o wszystkich zebraniach — a jakże — wiedział, o ich przebiegu też.

Ano, myślę se, — mówi Domagała — dobrze jest. Jak to wszystko wie, to znaczy zainteresowany jest. Nie dziwnego zresztą — w jego parafii rzecz się cała dzieje, nikt z tego tajemnicy nie robi. A co — pytam — ksiądz je-gomość o spółdzielni myśli? A coby — mówi — zobaczmy, zobaczmy. Ja w niczym przeszkadzać nie myślę. Pożegnaliśmy się grzecznie, do furty plebanii mnie odprowadził. Ale na trzy dni przed zebraniem, na którym się komitet założycielski spółdzielni przekształcał na zarząd przyjechał do wsi biskup... Dzwonki w krzyk...

Głośno było od niego i na zebraniach — dodaje Majchrowski — jakeśmy przystąpili do komasowania spółdzielczego gruntu, to się jedna, Paterkówna, najgorliwsza dewotka, przyrzekała na swym gruncie żywcem zakopac...

— I zakopała?

— Nie... Biskup przecież wyjechał...

Wyjechał biskup, ale nie wyjechał ksiądz. Nie wyniósł się ze wsi Stanisław Gajkowski. Trzy godziny na dobre stukotały tryby drewnianego młyna — dość czasu zostawało na wykonywanie plotek — choćby o wojnie. Po co ta cała spółdzielnia, kiedy i tak wszystko szlag musi trafić, rozleci się...?

W czasie lata, nocami, na przyzobach chat przy jarzających się ognach papierosów zarysowywały się fronty walki klasowej, przygotowywały się do wielkiej jesiennej ofensywy. Sygnałem miała być

pierwsza orka na spółdzielczym polu.

— Orali my traktorem... kiedy się czterorzędowy plug wdarł w moją miedzę — zatykało mi gardło. Cała wieś stoi i patrzy: nie na traktor, nie na plug — na nas spółdzielców... a my na nich i w siebie. — Wasy Mariana Celbana, wasy jak skrzydła, kołysz się na jego twarz. — Nie myślicie, że to było łatwe. Na to trza było odwa-gi...

— Odwagi?

— Odwagi. Przecieśmy wiedzieli, że idziemy w nieznane, w nowe, nie sprawdzone. Na to nie-znane pusiłiśmy to co nas żywiło: ziemię. Chleb. Ostatki naszego życia — i przyszłość naszych dzieci. Jak plug odwalił skibę z mojej miedzy — polaskotała ta skiba po piersiach...

— Polaskotała i po moich, a jeszcze mocniej po ojcowskich. Ojciec poszedł za mną, bo mi wierzył, że tak będzie dobrze, że tak musi być. Kiedy orali jego grunt... nasz grunt... nie zszedł z pola ani na moment... Musieli orać głęboko.

W izbie już ciemno. W kacie ja-rzy się czerwono trocinowy piec. W mroku nie widać twarzy, rak — piaszki sylwetki ludzi w konturach miedzi, ale i ogromnieją. Głosy — rwący się Domagały i twarde jak trzask łupanej buczyny Majchrowskiego — zostają w tym mroku długo, zapadają w wyobraźnię głęboko — nie wiem: słowa to czy obrazy?

Czuł mi, już od dawna, że wieś idzie ku nowemu, że musi się skończyć czas, w którym chłop był najgorszym, najczekliwszym wyzyskiwaczem samego siebie: bogaty dusił mizernego; robił u niego dniówki, za to, że ci na przednówku rzucił garsz ziemi. Koniaś od niego wziął, parobkowi i koniowi zarcie — i jeszcze płacł ty-siączkę — z czego?

— Dziecko do szkoły jak posłać? Kto bydlę do pola wygna?

— W chałupie nie żona-wyrob-nik. Z nóg się wali...

Kto mówi? Wszyscy. A Domaga-ła:

— Kurach — przewodniczący — był wiosną na Ukrainie. Ogłądał kolchozy. Tak — mówi — nie tak: maszyn.

Stankę — My już tego roku też traktorem część zorał...

Majchrowski: — W lecie przyjeżdżali tu ludzie z miasta. Naprawiali — z naszych maszyn — co się naprawić dało. A wieczorami — tak jak teraz z wami — opowia-

— Ano — wtedy trząsk...

Ktoś zapalił światło. Jasno. Ludzie się prostują na stołkach. Patrz na siebie i na mnie — zdziwieni. Wyznania — to rzecz u chłopów nie częsta.

Czy światłem — powrót do rzeczywistości, powrót do teraźniejszości. A to znaczy: marsz w przyszłość. Więc jeszcze raz: cegła, wapno, dachówki na nowe zagrody — zapłacone. Kwestia zorganizowania transportu. Setki ton materiałów wlec trzeba 16 kilometrów — kofini nie poradzi — więc traktory. Spółdzielnię trzeba postawić mocno na nogi — na to uprawa samego zboża nie wystarcza. Przewidziano i to: spółdzielnia część swych gruntów wydzielila na uprawę tytoniu, lewandy, miet-y. Sadzonki miet-y i lawendy — budowa inspektów przewidziana jest na rok 1950 — już zamówio-ne i zapłacone. To druga sprawa. Trzecia: budowa nowej szkoły. To co jest, to wstyd.

Czwarta i piąta sprawa. I szósta i siódma.

Jeżeli wiecie jak wyglądają nara-dy wytwórcze na fabrykach — wiecie jak wyglądała ta narada spółdzielni rolniczej „Przodownik”.

Nie wszyscy — zawsze — mówili: tak, ale wszyscy — z a w s z e mieli na uwadze jedno: jak naj-liej dla wszystkich. Do tego potrzebna była tym ludziom odwa-ga. Mieli ją.

Zbigniew Kwiatkowski

WŁADYSŁAWA WASILEWSKA

CIEMNA RZKA

„Trzydziestoletnia eksploatacja przetrzebiła ludność męską Paragwaju między Południowym Tebiuare a rzeką Parana. Taciuru-pucu zostało osiem razy wyludnione przez „Industrial”. Prawie wszyscy robotnicy, którzy pracowali w Alto Paraná od r. 1890 — 1900, wymarli. Z trzystu mężczyzn zabrzanych z Villaria w r. 1900 na pola yerbo w Tormenta w Brazylii, nie wróciło więcej niż dwadzieści. Obecnie agenci grasują po Misiones, Corrientes i Entre Rios w Argentynie”.

Takim mottem — cytatem młodego agentyńskiego pisarza i publicysty, Alfred Varela, zaopatruje pierwszy rozdział swej książki p. t. „Ciemna rzeka”. I czyni to nie bez kozery. Lapidarna informacja historyczno-ekonomiczna stwarza nie tylko punkt wyjścia dla jego powieści, ale również zarysowuje główną problematykę, około której narastać będzie akcja, oraz wyznacza jej miejsce i bohaterów.

Alto Paraná to wielki teren eksploatacji yerba — paragwajskich liści herbacianych. Stąd ciemna rzeka prosi, z którego naparza się ożywczy napój, odpływa na rynki świata. Tu wdarli się w poszukiwanie bogactw i władzy międzynarodowi handlarze i przedsiębiorcy, awanturnicy i poszukiwacze przygód, dopełniając podziału ziem nieobjętych jeszcze przez gospodarkę kapitalistyczną. Odkrywszy skarby dzungli — białe wysokie drzewa yerba — obalają je, rabują z liści, w gorące eksploatacji posuwają się wciąż naprzód, zostawiając za sobą dzieło zniszczenia — karykaturę ogolonej puszczy. Kolonia wciągnięta w sferę gospodarki kapitalistycznej zostaje dostawcą surowca i taniej siły roboczej a zarazem rynkiem zbytu towarów przemysłowych. Armia robotników — minus — zatrudnionych przy zbieraniu yerba staje się przedmiotem najokrutniejszego wyzysku. Mennus traktowani jak bydło robotce, popędzani batogiem, w niedźnych warunkach zdrowotnych, pracują od świtu do nocy pozbawieni wszelkiej potrzeby dla reprodukcji sił odpoczynku. Przy tym stale znajdują się w niewolniczej zależności finansowej i ekonomicznej od właściciela eksploatowanego obszaru lub tylko posiadacza koncesji na eksploatację. Zmuszanie robotnika do intensywnego przechodzącego jego siły produkcji, dążenie przedsiębiorcy do nieograniczonych zysków, posługiwanie się przemocą aparatem przemocy (wojsko, specjalne ekspedycje karne) dla utrzymania pracowni w ryżach i posłuszeństwie, przy zupełnym braku ochrony pracy, rzucenie mennus na żer najbardziej wyzysku.

Gdy eksploatacja wyniszczyła przedczyn w terenach najbliższych, przedsiębiorstwo zapuszcza macki w ziemie najbardziej odległe. Pozostając na jego usługach płatni nawiolywacze, agenci i pośrednicy, werbują do niewolniczej pracy. Obietnice zysków, szczęścia, magnetyzacji, którą obrócić można na ubranie, wódkę i prostytutki, zwyciężają wśród mennus strach przed legendarną grozą Alto Paraná. Lecz najcięższą do samobójczej decyzji wciągnięcia się w szeregi wyzyskiwanego stada robotników zmusza ich głód. Nadzieja powrotu z pełnym trzosem po kilku latach pracy jest silniejsza niż nieufność do oklepnych obietnic agenta.

Mennus upojony posiadaniem zaliczki żywiłowo wydaje ją na prawo i lewo, obciąża się niespalczalnym długiem, kupując krótkie chwile złudnego szczęścia, za cenę ciężkiego jarzma. Nie wie, że w zorganizowanym przez przedsiębiorstwo oszustwie jest to pierwszy punkt programu, który w następstwie przyniesie całkowitą niewolę. Przedsiębiorca dla omdlenia i uwikłania mennus uruchamia całą machinę kryminalnych oszustw, posługując się szeroko rozbudowanym aparatem sztalców i pomniejszych wyzyskiwaczy. Jego rozkazy spełniają w licznych gospodach i spelunkach szynkarze, obezwładniający trunkiem wolę robotników i uśpiający ich czujność. Na jego usługach pozostają właściciele statków, lupanarów, hoteli. Zorganizowana prostytutka, do której nie rzadko zmusza się żony przemocą odebrane robotnikom, daje mennus chwilę zapomnienia i na krótko otwiera mu perspektywę wspanialszego życia wśród taniego wykwintu i pięknych kobiet. Lecz deprawacja mężczyzn i kobiet daje nierównie większe zyski eksploatatorom. Cała ich piramida od podrzędnych do najpotężniejszych utrzymuje się i czerpie bogactwo z uprzanego na robotnikach wszelkimi sposobami bezprawia i wyzysku.

W tym piekle kolonialnej grabieży Ramon Mereya — bohater książki Vareli — wspólny z innymi dzieli los mennus. Autor przeprowadza go przez najróżniejsze sytuacje, przedstawia go wśród robotników w scenach, które dają czytelnikowi bogatą wiedzę o ludzkiej niedoli w kraju kolonialnym. U jej dna, po największych cierpieniach i najboleśniejszych stratach, po upokorzeniach nie do zniesienia, w Ramonie rodzi się i dojrzewa bunt. Planuje wspólny z kilkoma towarzyszami pracy ucieczkę.

Spiegający dozorcy wskazują braci Mereyów jako przywódców. Wzwań do administracji podejmują we własnej obronie walkę, „ukazując robotnikom ich święte prawo do buntu”.

W tym piekle kolonialnej grabieży Ramon Mereya — bohater książki Vareli — wspólny z innymi dzieli los mennus. Autor przeprowadza go przez najróżniejsze sytuacje, przedstawia go wśród robotników w scenach, które dają czytelnikowi bogatą wiedzę o ludzkiej niedoli w kraju kolonialnym. U jej dna, po największych cierpieniach i najboleśniejszych stratach, po upokorzeniach nie do zniesienia, w Ramonie rodzi się i dojrzewa bunt. Planuje wspólny z kilkoma towarzyszami pracy ucieczkę.

Spiegający dozorcy wskazują braci Mereyów jako przywódców. Wzwań do administracji podejmują we własnej obronie walkę, „ukazując robotnikom ich święte prawo do buntu”.

W tym piekle kolonialnej grabieży Ramon Mereya — bohater książki Vareli — wspólny z innymi dzieli los mennus. Autor przeprowadza go przez najróżniejsze sytuacje, przedstawia go wśród robotników w scenach, które dają czytelnikowi bogatą wiedzę o ludzkiej niedoli w kraju kolonialnym. U jej dna, po największych cierpieniach i najboleśniejszych stratach, po upokorzeniach nie do zniesienia, w Ramonie rodzi się i dojrzewa bunt. Planuje wspólny z kilkoma towarzyszami pracy ucieczkę.

Spiegający dozorcy wskazują braci Mereyów jako przywódców. Wzwań do administracji podejmują we własnej obronie walkę, „ukazując robotnikom ich święte prawo do buntu”.

W tym piekle kolonialnej grabieży Ramon Mereya — bohater książki Vareli — wspólny z innymi dzieli los mennus. Autor przeprowadza go przez najróżniejsze sytuacje, przedstawia go wśród robotników w scenach, które dają czytelnikowi bogatą wiedzę o ludzkiej niedoli w kraju kolonialnym. U jej dna, po największych cierpieniach i najboleśniejszych stratach, po upokorzeniach nie do zniesienia, w Ramonie rodzi się i dojrzewa bunt. Planuje wspólny z kilkoma towarzyszami pracy ucieczkę.

Spiegający dozorcy wskazują braci Mereyów jako przywódców. Wzwań do administracji podejmują we własnej obronie walkę, „ukazując robotnikom ich święte prawo do buntu”.

Spiegający dozorcy wskazują braci Mereyów jako przywódców. Wzwań do administracji podejmują we własnej obronie walkę, „ukazując robotnikom ich święte prawo do buntu”.

Spiegający dozorcy wskazują braci Mereyów jako przywódców. Wzwań do administracji podejmują we własnej obronie walkę, „ukazując robotnikom ich święte prawo do buntu”.

Ramon, to człowiek waleczny. Zbiera upokorzenia do czasu, aż przebiegnie się miarka, lecz nie może pogodzić się z niustannym poniżaniem ludzi. Ten humanistyczny protest w pierwszym etapie buntowniczej działalności młodego Mereyry przeradza się w walkę skierowaną przeciw bezpośrednio uciskającym go gniebielom — administratorom, dozorcom. Podobnie pragnienie zręcznej jarmy powodowało mennus do bezrozumnego niszczenia drzew yerba. „Bo mennus nie rozumie, że nie drzewo jest jego prawdziwym wrogiem, bo jeszcze nie może zwrócić ostrza siekiery przeciw istotnemu wrogowi, dalekiemu che-rubichú (szefowi)”.

Lecz Ramon na tym nie poprzestaje. Bawiem autor nie ogranicza się do przedstawiania upartych zmagani nieświadomego robotnika dążącego za wszelką cenę jedynie do ucieczki jakiegoś ratunku. Nie rozciąga przed czytelnikiem obrazu bezradzieli, w której uzasadniałaby się nierozważalność sprzecznosci kapitalistycznego ustroju. Jego bohater szuka z trudem innego wyjścia — takiego, które daje nie przez jednostkę dokonywaną zemstą nad pojedynczym gniebielcem, lecz zorganizowaną walką jednej klasy, wyzyskiwanej, przeciwnie — wyzwyskującej.

Uświadomienie Ramona przypisze jego zętknięcie się z marynarzem zrzeszonym w argentyńskim Związku Robotników, a potem z Frutosem, jednym z żołnierzy rewolucji, jaka w latach 1929 — 1930 wybuchła w Sao Paulo w Brazylii pod dowództwem Prestesa, założyciela Brazylijskiej Partii Komunistycznej.

Ażby podjąć walkę, Ramon ucieka z dzungli. Fakt ten może budzić pewne zastrzeżenia ideologiczne — ucieczka z kregu bardziej wyzyskiwanych urasta do symbolu wyjścia z trudnej sytuacji. Książka kończy się jego radosnym okrzykiem zwycięstwa. „Zostawiał za sobą całą epokę na tych kruchych trzcinach zdążając szybko ku następnej. Spieczył do plantacji yerba i do Związku, tam, gdzie ludzie, choć są eksploatowani, walczą wspólnie w obronie własnej godności, gdzie na pewno znajdzie dla siebie miejsce, dący do własnej godności, gdzie na pewno znajdzie dla siebie miejsce, dący do własnej godności, gdzie na pewno znajdzie dla siebie miejsce, dący do własnej godności”.

Varela, realizując ambitny zamiar stworzenia pełnego obrazu życia w koloniach, nie posłużył się koncepcją konsekwentnie jednolitego dzieła. We właściwych partiach powieści — bo można w tej książce oddzielić narrację powieściową i publicystyczny komentarz — posługując się językiem prostym i zwięzłym, w realistycznym obrazie, przedstawił życie i niedole mennus. Pasa publicysta znajduje ujęcie w krótkich literackich szkicach z pogranicza publicystyki i reportażu, zatytułowanych „Podbój” i „W pulapce”. Przerwywają one rytmicznie właściwą opowieść. Umiędlone poza numeracją rozdziałów rysują w szerokich historycznych perspektywach drogi rozwojowe kolonialnego wyzysku, zachaczając od pierwszych hiszpańskich zdobywców, poprzez XIII-wiecznych „bohaterów pustyni”, którzy wypili Indian, poprzez chaotyczną grabież dzungli aż do nowoczesnych plantacji zakładanych przez potężnych właścicieli latyfundiów.

W sposób żarliwy, demaskatorski, z głęboką troską o człowieka, odkrywa Varela źródła wyzysku, którego formy ulegały zmianom w ciągu wieków, lecz którego cel pozostał ten sam: „dziewicze puszce yerba i dziewicza krew ludzi o ciemnej skórze”.

Ukazuje niehumanistyczną, wyniszczającą rolę, nieuczynną, niezbędnych do produkcji maszyn, które służą nie ułatwieniu pracy i nie umniejszeniu wysiłków, lecz ujarzmieniu i przykuceniu robotnika. „Ważne jest, aby z suszarni wyszła dobra yerba. Jak wyjdzie z tego człowiek — to nikogo nie interesuje”.

Dużo miejsca poświęca autor dzungli, zespolonej z pracą i życiem mennus. Z bistrze podpatrzonego życia przyrody zaczerpnął wiele porównań, buduje misternie, umiętne wplecione w tekst alegorie np. o pająku, który złowiszysz chrząszcza w zastawione sidła ginie pod stopą człowieka. Umieszczone przed rozdziałem, w którym gotuje się na Ramona zasadzki, nie jest wyrazem poszukiwania formalnych upiększeń, lecz pełni funkcję symbolicznego skrótu o wymowie ideologicznej aż nadto wyraźnej.

Powieść, mimo pewnych akcentów pesymistycznych, jest nasycona ładunkiem rewolucyjnej ideologii i jej służby. Opisuje wyzysk, uświadamia i mobilizuje do walki. Pieśń śpiewana przez jednego z robotników niesie bliski krwawego rozrachunku:

„Odzienie gniebieli
nie pierze się mydłem,
pierze się ja ostrzem ze stali
i prochem strzelniczym”.

Polskich czytelników żyjących w kraju rewolucyjnych przemian, w którym tak mocno i niejednokrotnie daje się wyraz solidarności z ludami walczącymi o wyzwolenie społeczne i narodowe, głęboko humanistyczna książka Vareli umacnia w poczuciu konieczności i słuszności tej solidarności.

Władysław Wasilewski.

WYBORCY O PISARZACH
NASZ PISARZ

Kandydatem na deputowanego do Rady Najwyższej Z.S.R.R. z okręgu wyborczego Piatigorsk został nasz utalentowany rodak — Siemion Piotrowicz Babajewski, pisarz, laureat nagrody Stalnowskiej, autor powieści „Kawaler Złotej Gwiazdy” i „Światła nad ziemią”. Przypominam sobie interesującą rozmowę. Niedawno nasz tokarz, komсомолец, Siergiej Morozow, zagadnął sekretarza fabrycznego komitetu Komсомоtu Oktabrinę Riapolowa:

— Jak sądzicie, czy byłby wykonany plan pięcioletni w Ust-Niewinskiej, gdyby bohater książki Babajewskiego, Tutarinow, nie miał takiego przyjaciela — doradcy, jak sekretarz rejonowego komitetu partii, Kondratiew?

— Na pewno — uśmiechnęła się Riapolowa. — Byłby inny przyjaciel — doradca, i oczywiście — nie gorzys. Przecież naszych ludzi jednako — i Tutarinowa i Kondratiewa — wychowuje partia komunistyczna. Tutarinowa uczy i kieruje nim troskliwy sekretarz partyjny. A kolektyw? Jacy współpracownicy otaczają Tutarinowa!...

— Macie rację, — zgodził się tokarz. — Dlatego lubimy książki Siemionowa Piotrowicza, gdyż w nich wiernie zostało odwzorowane nasze życie, gdyż od bohaterów książek Babajewskiego można się wiele nauczyć.

Dobrze zapamiętałem tę rozmowę o twórczości naszego kandydata na deputowanego. Zapamiętałem raz jeszcze przeczytać „Kawalera Złotej Gwiazdy”. Przede wszystkim przede mną znajomi bohaterowie — znajomi, gdyż często myślę: ot, zaraz spotkam Siergieja Tutarinowa. Tacy ludzie żyją wśród nas, razem z nami budują komunizm.

Znajomość życia, bogate doświadczenia, stała łączność z narodem stanowią o poziomie twórczości Babajewskiego. „Kawaler Złotej Gwiazdy” to nie tylko porównawcza powieść, to także utwór, uczący, jak oszczędzać, jak umacniać materialne podstawy gospodarki kołchozowej, jak zwiększać dobrobyt kraju.

To mieliśmy na uwadze wysuwając kandydaturę Siemiona Piotrowicza na deputowanego do Rady Najwyższej Z.S.R.R.

My, rodacy Babajewskiego, upatrujemy źródła jego sukcesów pisarskich w tym, że podejmuje on znane, bliskie mu tematy. Zyciorysy jego bohaterów są nierozłącznie związane z zyciorysem samego pisarza. Babajewski urodził się w 1909 w biedniackiej rodzinie chłopskiej. Był kierownikiem czytelnicy, sekretarzem organizacji komсомolskiej, korespondentem gazet rejonowych i krajowych. Wszystko to, czym żył cały nasz naród, czym żyły stannie kozackie, wstępujące na drogę kolektywizacji, wszystko to wchodziło w zakres codziennej działalności społecznej Babajewskiego.

To nasz człowiek, na którym można polegać. Jako współpracownik prasy bolszewickiej Babajewski brat zawsze decydujący udział w życiu stannie i chutorów dzięki swym artykułom, szkicom, korespondencjom lub też po prostu wystąpieniem na zebraniach zarządu kolchozu.

I teraz jeszcze, stawiający się znanym pisarzem radzieckim, Babajewski nadal poszerza i pogłębia swoje serdeczne stosunki z przyjaciółmi ze stannie. Bywa wszędzie, wie o wszystkim, wszystkim się interesuje. Gdy dostanie polecenie do miasta — wypełni je z całą obojętnością; gdy zwrócić się doń ze skargą — porozumie się z odpowiednią instytucją i sprawę doprowadzi do końca.

Tylko pisarz — patriota, gorąco kochający ojczyznę, żyjący sprawami narodu, zdolny jest tworzyć dzieła, w których wiernie i wyraziście ukazane jest nasze współczesne życie. Dlatego też nasz kolektyw wysunął pisarza i działacza społecznego S. P. Babajewskiego jako kandydata na deputowanego do Rady Najwyższej Z.S.R.R.

A. GATKOW
przewodniczący grupy gisierów w piatigorskich zakładach remontu maszyn.

PISARZ
NOWEJ
ESTONII

W niewielkim miasteczku estońskim rozlepiłono afisze: „Gosujcie na kandydatów stalnowskiego bloku komunistów i bezpartyjnych!” Mieszkańcy z szacunkiem wpatrują się w plakat z portretem, obreżonym czerwonym linia.

W republice naszej nie ma takiego klubu wiejskiego, teatru miejskiego, biblioteki, czytelnicy, gdzie by nie mówiono o utworach Augusta Jakobsona, nie zachowywano się nim. Książki jego znalazły uznanie w robotniczym Tallinie, czytają je studenci w Tartu, w szko-

łach uczniowie piszą wypracowania o ideach przewodnich jego twórczości dramatycznej. Widzowie w kinach z zapiętym oddechem śledzą losy bohaterów „Życia w cytadeli”.

Pouczająca jest droga życiowa dramaturga Augusta Jakobsona.

Syn robotnika, pisarz wrażliwy na cierpienia i walkę swego narodu, Jakobson napisał już przed wieloma laty książkę „Wioska biednych przeszników”. Ukazywała ona bolączki społeczne kapitalistycznej Estonii. Estonika burżuazja przyjęła ten utwór z wściekłością i przeżewaniem.

Twórczość Augusta Jakobsona wzbogaciła się ideowo, rozkwitła, gdy Estonia weszła do rodziny republik radzieckich. Jakobson każdą nową książką zdobywał uznanie i miłość kręgów czytelniczych. Stał się jednym z najbardziej znanych dramaturgów radzieckich, czerpiących z głębi życia tematy swych utworów. Wyrazem najwyższego uznania dla poziomu ideowego i artystycznego jego książek jest odznaczenie dwóch jego utworów — „Życie w cytadeli” i „Walka bez linii frontu” — nagrodą stalnowską.

Jakobson umie zawsze ujawniać sprawy naszego życia najbardziej aktualne i charakterystyczne. Walczy o postęp na każdym odcinku swej działalności.

W swych dwóch ostatnich sztukach („Rda” i „Dwa obozy”) Jakobson ukazuje, jak rodzi się życie radzieckie w Estonii, jak wykorzenia się przeżytki kapitalizmu z ludzkiej świadomości. Zastęga dramaturga leży w tym, że pokazał on jak w walce ze starym harciutą się i kruszącą charakter, zrodzone przez socjalizm.

Z dumą i zadowoleniem robotnicy Estonii wysunęli kandydaturę Augusta Jakobsona na deputowanego do Rady Najwyższej Z.S.R.R. Jest to fakt piękny i wzruszający. Ukazuje bowiem prawdziwą jednostkę wewnętrzną robotników i naszych nowych inteligentów, budujących wspólnie pod kierownictwem Partii i Stalina gmach komunizmu.

HANS LEBEREKHT

PIEWCA LUDU
BIAŁO-
RUSKIEGO

Ze wszystkich stron poddawano nazwisku Jakuba Kolasza (Konstantego Michajłowicza Mickiewicza), gdy w kolektywie nowogrodzkiej hutny skłanej zastanawiano się nad kandydaturą deputowanego z okręgu do Rady Najwyższej Z.S.R.R.

Tutaj, w Nowogrodzie, narodził się poeta Białorusi Jakub Kolas. Jest nie tylko ulubionym pisarzem, ale także drugim i bliskim rodakiem. Dziecinstwo jego i młodość upłynęły bowiem nad brzegami szerokiego Niemna.

W guszy białoruskich lasów, w chacie ojca-leśnika K. Mickiewicza poznał ciężką prawdę życia w pańskiej niewoli i czystą poezję ludu — jego bajki i legendy.

Oto ważniejsze etapy jego życia. Pierwszy — seminarium pedagogiczne i praca nauczyciela w zapadłej uści polskiej.

Młody pedagog przeżywał głęboko nędzę i cierpienia narodu. Zwraca się do niego pamiennymi wersami pisanymi po białorusku. Wiejski nauczyciel Konstanty Mickiewicz został poetą narodowym, Jakubem Kolasem. Stał się wyraziście myśli i nadziei swego narodu.

Wzwań poetę dotarły do ludu, znalazły oddźwięk w sercach Jakuba Kolasza, „niebezpiecznego przestępcę politycznego” w 1906 usunął ze stanowiska nauczyciela, poddano pod nadzór policyjny. W 1908 został skazany na 3 lata więzienia za uczestnictwo w nielegalnym zjeździe nauczycielskim.

Nic jednak nie złamało rewolucyjnego ducha poety. Nigdy, nawet w najgorszych latach carskiej reakcji, nie opuszczała go wiara w lud. Spójrzmy tylko na tytuły jego wierszy z tego okresu: „Nie rozpacza”, „Sprawa zwycięży”, „Nie wierzcie”, „Bądź nieugięty”.

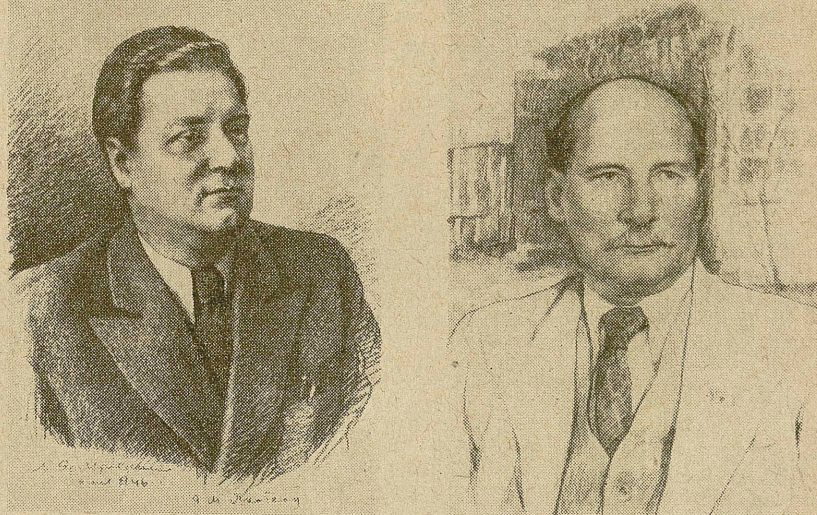
Nadszedł jednak „złoty wiek”, o którym marzył poeta. Władza radziecka otworzyła niezmiernie perspektywę przed narodem białoruskim.

Cóż może być droższego dla artysty nad ogólnonarodowe uznanie? Kolas ma do niego prawo. Dlatego też rząd Radzieckiej Białorusi nadał mu wysoki tytuł poety narodowego.

Jakub Kolas jest także nieustraszoną działaczką społeczną. Siedziwy pisarz aktywnie współdziała w wielu organizacjach.

Świetnym talentem poetyckim, całkowitym oddaniem narodowi, partii bolszewickiej i wielkiemu Stalinowi zdobył Jakub Kolas ogólną miłość i szacunek.

PETRO GLEBKA



August Jakobson

Jakub Kolas

W wyborach do Rady Najwyższej ZSRR wysunęto kandydaturę 34 majwybitniejszych pisarzy radzieckich (m. in. kandydowali Szolochow, Fadijew, Erenburg, Simonow, Tichonow, Czikowani). Tak wielki odsetek pisarzy wśród kandydatów na deputowanych świadczy o doniosłości ich roli w życiu republik radzieckich, o tym, jak istotny i głęboki jest ich udział w najżywniejszych sprawach społeczeństwa.

Głosy o pisarzach — kandydatach, jakie ukazywały się na łamach pism radzieckich w czasie kampanii wyborczej, kreśliły biografie pisarskie, z których każda ukazywała drogę pracy i walki, drogę służby dla narodu i socjalizmu. Dlatego dla szerokiego rzesz wyborców każdy literat-kandydat to „nasz pisarz”, który nie tylko przeżył wraz z narodem czas walki, lecz jest także uczestnikiem i towarzyszem codziennego trudu ludzi radzieckich.

ZWIERCIADŁO PRACY PISARSKIEJ

(Z radzieckich dyskusji o krytyce literackiej)

W ramach toczącej się od dłuższego czasu w literackich pismach Z.S.R.R. obszernej i doniosłej dyskusji o literaturze i krytyce literackiej zamieszczony został w „Gazecie Literackiej” z 1. III. br. artykuł stanowiący podsumowanie pracy miesięcznika „Gwiazda” za rok 1949.

Wagę tego typu recenzji dla toczących się dyskusji teoretycznych podkreśla autor, pisząc: „Nasze literackie i społeczno-polityczne miesięczniki, organy Związku Pisarzy przy dzisiejszych metodach swej pracy odzwierciedlają zarówno osiągnięcia literatury radzieckiej jak i pewne jej usterki. Na szpalach tych pism odbił się zwrot pisarzy ku bojowym tematom współczesnym i ich nowatorskie ujęcie, głębokie ujęcie podstawowych tendencji życia jest przyczyną faktu, że ukazujące się co miesiąc numery są pożądane dla czytelników. Z drugiej strony jednak takie ujemne zjawiska w środowisku pisarzy, jak nie zwracanie dostatecznej uwagi na zagadnienia rzemiosła pisarskiego, wzajemna pobłażliwość wobec błędów, brak zasadniczego stanowiska w krytyce — ujawniły się także w pracy czasopism i odbiły się na ustosunkowaniu się do nich wymagającego czytelnika radzieckiego.”

Wszystkie te usterki radzieckiego życia literackiego pętnowane były przy omawianiu działalności takich czasopism literackich jak „Leningrad” i „Nowy Świat” oraz przy krytyce stylu pracy kierownictwa Związku Pisarzy. Poza zagadnieniem dyskusji pozostał dotychczas miesięcznik „Gwiazda”.

Miesięcznik „Gwiazda”, wydawany w Leningradzie, jako organ Związku Pisarzy, kierowany jest przez Prezydium i Sekretariat Związku, a zasiłany przez aktywnych pisarzy leningradzkich. Z jednej strony zapewnia mu to współpracę zolowych literatów radzieckich, z drugiej jednak wpływa na ujemne przejawy pewnego zasklepienia i ograniczenia do spraw miejscowej organizacji pisarzy.

Autor jako cenne pozycje, opublikowane na łamach „Gwiazdy” wylicza szereg powieści, utworów dramatycznych, poematów oraz artykułów publicystycznych, krytycznych i naukowych, wśród nich „Jasny brzeg” Panowej i „Marie” Medynskiego, dramaty Jakobsona i Wurguna, wiersze Prokofiewa, Dudina Ragicza, i wiele innych. Wszystko to wskazuje na wyraźne podniesienie poziomu miesięcznika w porównaniu do r. 1948. Nie brak jednak i istotnych niedociągnięć.

Wskutek braku dostatecznej czujności i surowej koleżeńskiej krytyki wewnątrz zespołu redakcyjnego, opublikowano utwory uderzające błędne, lub też wymagające staranniejzego opracowania, jak powieść Germana „Podpułkownik służby zdrowia”, opowiadania Marwica p.t. „Pierwszy i ostatni”, utwory Hausnera „Starzy ludzie”, „Nowi przyjaciele”, powieść Asanowa „Sekretarz biura partyjnego”, „Z jednego pułku” Rozena i in.

Oprócz braku surowej krytyki i nierozsądnej gospodarki łamami miesięcznika, zapewnianymi zymi lub niedojrzałymi utworami, jako podstawowy błąd redakcji wysuwa autor niewykorzystane możliwości: „Niewykorzystane możliwości, to rękopisy nie przyjęte przez redakcję z braku chęci lub umiejętności długiej, uporczywej pracy wraz z autorem. Niewykorzystane możliwości, to utwory, które nie powstały, gdyż redakcja nie zdobyła się na twórcze wskazanie tematu, gdyż doświadczona ręka kolekty-

wu pisarzy, stojącego na czele miesięcznika nie skierowała poszczególnych młodszych lub starszych literatów do pracy nad określonym, ważnym zagadnieniem współczesnym.”

Czasopismo literackie jest zwierciadłem pracy pisarskiej, jednocześnie jednak i organizatorem pracy — stwierdza autor. Wskazuje, że zarówno w redakcji „Gwiazdy” jak i w zarządzie leningradzkiej organizacji pisarzy brak zespołowej pracy kierowniczej oraz nie wyrobiono dotychczas metod zdrowej krytyki i samokrytyki.

Brak krytyki nie pozwala rozwijać się należycie wybitnym pisarzom leningradzkim jak Panowa, Sajjanow, Prokofiew, German i in. hamuje on także pracę leningradzkiej organizacji Związku Pisarzy.

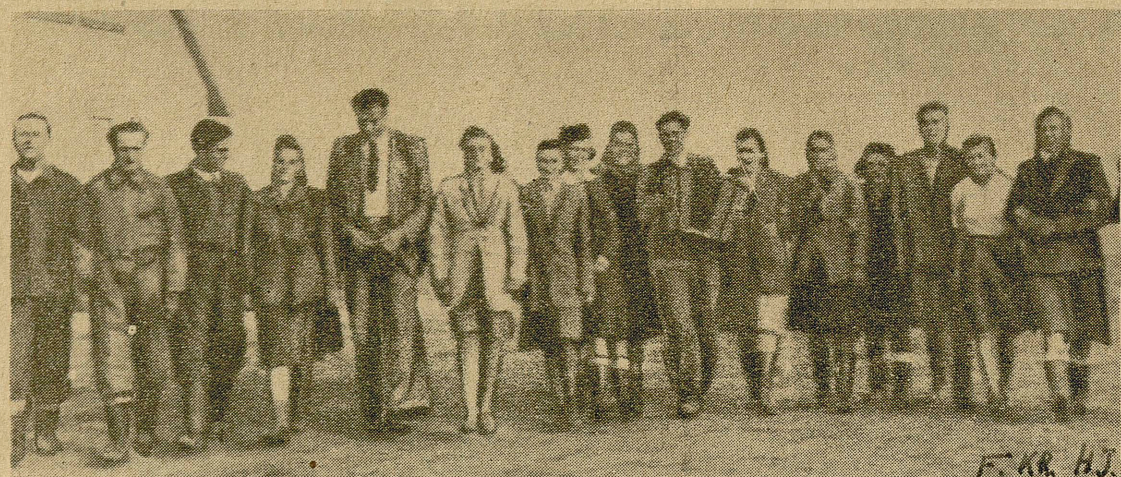
„Brak krytyki i samokrytyki w kierownictwie utrudnia walkę z przeżytkami klikowości i kumoterstwa, pozwala na istnienie wśród pisarzy grup, jednoznacznych się na zasadzie wzajemnej adoracji i pobłażliwości dla swych błędów. Niewątpliwie silna i tworząca organizacja pisarzy leningradzkich jest w stanie wypełnić podobne, sporadyczne wypadki klikowości i braku zasadniczego stanowiska w dyskusjach, jeśli nie uczyniła tego do tej pory, to dlatego właśnie, że w samym kierownictwie organizacji brak dostatecznej krytyki i samokrytyki, brak zasadniczego stanowiska przy ocenie utworów, brak wreszcie zespołowości w pracy, co gwarantowało by skuteczną walkę z wszelkimi przejawami odradzania się klikowości.”

Jako podstawowe zadania stojące na obecnym etapie przed organizacją leningradzką wysuwa autor przedyskutowanie podstawowych ideowo-artystycznych problemów pracy pisarskiej oraz rozstrzygnięcie ich w toku twórczej zespołowej samokrytyki szerokiego aktywności pisarskiej. Redakcja czasopisma „Gwiazda” winna stać się organem kierowniczym, winna skupiać wokół siebie życie literackie Leningradu i wychowywać młodzież literacką.

„Scementowanie twórczego aktywności pisarskiego wystąpi w trakcie pracy nad podstawowymi, bojowymi problemami współczesnego życia, w szczególności na tle zwrotu do tematu produkcji, do literackiego przedstawiania stachanowców, czołowych ludzi radzieckich, dzieł, którym słyne kraj nasz i słyne Leningrad, miasto wielkich rewolucyjnych tradycji i wielkiej socjalistycznej pracy” — konkluduje autor.

Śledzenie doświadczeń radzieckiego literaturoznawstwa podsumowywanych w licznych, zasadniczych i doniosłych dyskusjach na łamach prasy jest dla polskiego czasopiśmiennictwa szczególnie ważne i instructywne w okresie nasilenia dyskusji nad obliczem naszej twórczości, nad zadaniami krytyki i nad wytycznymi reorganizacji naszego życia literackiego. Dyskusje radzieckie wysuwają jako stały postulat pod adresem aktywności literackiej zasadnicze przedyskutowanie teoretycznych założeń pracy pisarskiej; ściśle związane jej z naczelnymi problemami życia społeczeństwa. Wskazują na konieczność rozwinięcia w szerokiej skali twórczej krytyki i samokrytyki, które są jedyną drogą przełamania niedociągnięć od zewnątrz i wypracowania słusznej linii postępowania przez ambitny zespół, nie zasklepiający się w swych błędach.

M. Z.



MŁODZIEŻ W BORATYNIE

Fragment z reportażu konkursowego — „Awans Józka Bukalę”

Najpierw przyjechały Kusie. Józef i Franciszek Kuś z rodzinami, dobytkiem i dwoma krowami. Zaraz przyjechali, jak tylko im Bóg (ten z ZMP) powiedział o Młodzieżowej Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Boratynie. Nie mieli czego żałować. Chudych 2 ha w Solotwinie! Kto na nich wyżyje i jakie ma widoki! Tyle tylko, że człowiek jest przywiązany jak pies na łańcuchu. Co spółdzielnia, to spółdzielnia! A przy tym i ziemię to lepsze, bogatsze. A na spółdzielni to i dzieci mają przysioł! — Tak mówili Kusie, i to się sprawdziło. Helka jest tu przodownicą pracy i przewodniczącą spółdzielczego koła ZMP (honor dla dziewczyny). Marysie posłali do szkół do Lublina, pewno będzie nauczycielką, może nawet tutaj, w Boratynie. Józek chodzi do gimnazjum do Krystynopola. Codzień leci 3 km. tam i z powrotem, ale lepsze to, niż gdyby siedział w domu w rodzinnej wsi, w biedniackiej Solotwinie w puławskim.

Kusie mają piękny dom. Jedni i drudzy. Tak jak wszyscy. Dwa pokoje z kuchnią i podpiwnicą spiżarnią na dole i jeden duży na górze. Może i przyjdzie oddać na górę pokój, jak zjedzie na spółdzielnię jeszcze więcej kawalerki, ale na razie niech się nim nacieszą.

— Zresztą, czy ja kiedyś miałam w życiu dwa pokoje z kuchnią? — mówi Kusowa. — I to takie pokoje! Na podłozie i jeszcze tak jakby z gankiem przed domem.

Opodal domu mają mały nowoczesny kurnik i obórę na dwie krowy. Na wiosnę posadzą drzewa owocowe na 30 arów działce przyzadkowej. I tak mają wszyscy.

Domek Kusiów jest trzeci z brzegu. Pierwszy mają „Justowi”, wdowa z trzema córkami. Ze służby z Krystynopola przyszły tu do roboty i tak zostali, zostali na swoim. Na górze u nich mieszka kawalerka. Józek Osek przyjechał tu z Lubartowa ze służby u kulaka. Pracuje i sprawuje się tu widać dobrze, bo spółdzielnia zrobiła go magazynierem i pośle na kursy. Z Józkiem mieszka 19-letni Oleszczuk spód Włodawy, który mówi — „ze służby uciekłem od gospodarza, com się u niego dorobił garbu od roboty. Jakem się tylko dowiedział o Boratynie, tom dał deba”. Trzeci współlokator, to 20-letni Kopeć, ten nawet wspomnieć nie chce o dawnych złych czasach. „Co było a nie jest, nie pisze się w rejestrze!” — odpowiada ostro, gdy kłóty z kolegów zapyta: — „Gdzieś służył?”

Obok mieszkają Ciuryszkiewicz. Przyjechali tu z Kazimierza, z nędzy. Matka i córka pracowały w kamieniołomach, a stary Ciuryszkiewicz mówi, że chodził „po przoznym”. Kto go tam wie. Ale dziś stary zadowolony, że pracuje na swoim.

— W oborze naszej szwajcarem jestem, powiada — na swoim....

Najstarsza córka, 18-letnia Daniela, wszędzie jest tam, gdzie wspólnie pracujemy, wspólnie uczymy się, śpiewamy, czy bawimy.... — mówi o niej koleżanki. Młodsze Ciuryszkiewicz jeszcze są za małe, żeby pisać o nich jak o spółdzielcach. Czterolatnia Nacia, czarniutka i rozkostrzewiona, jak małe Cyganki, przywleczy się czasem za matką lub siostrą jak ogonek do świetlicy i słucha, o czym starsi radzą, lub próbuje się uczyć i śpiewać, tego, czego się uczą i co śpiewają.

Dalej mieszkają Maciaszki, młode małżeństwo. On jest członkiem zarządu spółdzielni. „Pracowici i weseli!” — mówią o nich spółdzielcy. Na górze u nich też mieszka kawalerka. Pierwszy to Józef Bukala, do niedawna parobek kulaka z Lubartowskiego, dziś przodownik pracy i wzór członka spółdzielni. Lubią go wszyscy. Pogodny jest zawsze i ludzom życzliwy, a chętny do każdej roboty jak nikt! — „My zawsze pracujemy z Reginką Mazurkówną, czy w polu, czy przy młóce, czy przy zadawaniu krowom”. Chwali się chętnie Regina, no, bo Reginka to też pierwsza przodownica i przy tym

sympatia Józka. A nie dziwki się, bo i ładna ta Reginka! Prosta, silna, o regularnych rysach i mądrej, skupionej twarzy. W przeciwieństwie do wesołego Bukalę zawsze jest poważna, prawie groźna, jakby stwardniała w ciężkiej pracy od dzieciństwa.

Drugi tu mieszka 17-letni Bolek Kęcik o miłej, dziecięcej twarzy. Przyjechał tu z werbunku SP i szukał kursu traktorzystów a trafił do spółdzielni. I tak został. Myśli, że teraz może go posła na kurs sadowniczy. A „zawód ogrodnicy” — mówi Bolek — bardzo mi się nawet podoba. Trzeci to Staszek Kaniewski. O, ten to całe życie wytkuł się po służbach!

„Na własnej skórze już poznałem — walczy przez zaciśnięte zęby Kaniewski — co to jest wyszyskiwać! 25 lat mam a nie dorobiłem się na służbie na buty i na koc nawet. Plachta się okrywałem i spałem na worku z sianem, jakem tu przyjechał, a buty to mi tu dali gumowe z funduszu odzieżowego i kombinzone też, a teraz watówke!”

Los wszystkich tych chłopów i dziewcząt był podobny. Jak nie ze służby i często z sierocy ciężkiej dołi (jak to po wojnie!) — to z takiego okrajka ziemi, co to „szkoda gadać — i żyć nie ma z czego, i umrzeć nie ma za co!”

„I honoru nawet człowiek nie miał swego! — skarży się pufnie ładniutka, 18-letnia koleżanka Z. — jak mi taka paniusia, com u niej służyła od 8-ego roku życia, bo mi w wojnę matkę i ojca zabili, jak mi taka paniusia, że chciałam się uczyć i na kurs wieczorowy iść — powiedziała: „Ty szantrapo jedna!” — to, czy to honor dla takiej uczelnej dziewczyny, jak ja? — Tyś sama szantrapa, jak mówisz na kogo! — powiedziałam jej i poszłam. I gdzie? Pewno, że nie na ulice, jak „szantrapa” i może jak to było dawniej za burżuazyjnych rządów. Do ZMP po-



Młodzież z Boratynia idzie do pracy

szłam! — mówi z dumą. No i w ZMP pytają koleżdy, gdzie wole iść, do SPP czy na MRSP? — Na spółdzielnię! — mówię — bom ze wsi”. Jeden domek zajmują tu traktorzyści z POM-u, na codzień „wymyślane chłopaki” — „eleganci” w niedzielę i święto. „Za małe jeszcze mamy traktorów — w Boratynie, — mówią — a ugory zlikwidować chcemy i plan wykonac, to i dużo robimy, ale zarabiamy też nieźle!”

Zarobki ich istotnie idą w grube tysiące. Było to nawet w pierwszych chwilach istnienia spółdzielni zarzewiem nieporozumień i niezadowolenia wśród spółdzielców: — „dlaczego oni tyle zarabiają a my mniej?”. „Trzeba było namęczyć się do brzo — mówi kierownik rolny Jancazak — żeby wytłumaczyć „naszym”, że spółdzielnia zagospodarowuje się dopiero i że nie ma docho-

dów. Bo z czego. To, co dostają, to jest tylko zaliczka, pożyczka państwa dla nowych gospodarzy na początek. A początek zawsze jest ciężki!”

„W ogóle z początku to było trudno i z ludźmi — informuje kierownik organizacyjny Łapiński. — Ludzi potrzeba wychować na spółdzielców. Przyjeżdżają różni, przyjmują się wszystkich, a nie każdy wie, czego chce i po co przyjechał. Mielimy wypadki, że ludzie wyjeżdżali a byli też tacy, których usuwał kolektyw. Bo co robić z takim, co pracować nie chce i drugich jeszcze buntuje? Co z nim robić?”

„Taki ap. Mioduszewski — opowiadał spółdzielcy — taki „pan”! ręce w kieszeniach, w zębach fajeczka i zle słowo na spółdzielnię. A jak kto mu powiedział „kolego”, to on: — „nie zbierałem z tobą szyszek w lesie!” Kto on by mógł być taki? — Patrzcie go, magazynierem chciał tu u nas zostać! A do roboty go! Niech ręce zakasze!”

„Albo i te Kule! Oj, głupie, bo głupie! — wydziewia Maciaszkowa. — A co się „natracili” i nic z tego. Cała rodzina tu przyjechała z dobytkiem z Mećmierz, w puławskim, a do roboty iść nie chcieli. Córki cały dzień przędły lustrem a ojciec ławego chleba szukał. „Na budowę jaką pójdę, albo gdzie do stolarni, to się nie utram ty!” — mówił, no i ogon zawinał i poszedł! I cała rodzina za nim. Ale co się „natracili!” — to „natracili!” Jakiś tam sprzedali i dwie kozy i graty wyszyskujące...”

„A Rózka koledzy sami wyrzucili — mówi koleżdy boratyńczy. Do partii niby to należał i do ZMP, a „pana” odgrywał i chciał nam tu „panować”, a tylko jatrzył i od pracy odmawiał. „Co? — mówił, — w kolechozie będę robił! Nie ma głupich.” A do diabła z takim „przebierańcem”, z takim podżegaczem wojennym!!! Wyrzuciliśmy!”

— „Panów tu nie potrzebujemy!”



Syn jego, Adas wstaje też wcześniej rano; uważa, że do szkoły nie należy się spóźniać. Ale zanim się roztągnie syn ga oju przez chwilę na mandolinie — gra wesoło; potem ta melodia dźwięczy oju przez cały dzień pracy i miesza się z głośnymi uderzeniami młota o kamień; kamień używany na drogi jest twardy, trzeba go mocno bić — nie tylko mocno, ale i umiejętnie — żeby go rozbić na drobne części.

Syn idzie do szkoły. Co pewien czas po południu, Adas ma dodatkowe zajęcie — które wynika z równo z jego zamilowania jak i z obowiązku: z obowiązku dlatego, że Adas jest członkiem koła ZMP. Tym zajęciem są próby muzyczne zespołu mandolinistów ZMP, w skład którego wchodzi Adas jako utalentowany muzyk-mandolinista i gitarzysta.

Adasia Dziubanowskiego, Lebdo-wicza, Zdzisia Lisowskiego i cały zespół instrumentalny ZMP z Piwnicznej z kierownikiem ob. Żytkowiczem mieliśmy okazję widzieć i słyszeć na Festiwalu Wiejskich Zespołów Artystycznych ZMP, który odbył się w Krakowie w dniach 17 i 18 grudnia.

Zespół ten słusznie znalazł się wśród najlepszych zespołów, które jury przeznaczyło na wyjazd do Warszawy. Wśród nich są zespoły: Zespół taneczny ze szkoły rolniczej z Łososiny Górnej nagrodzony za taniec zbrojnicki, taki ognisty, jaki tylko artystom z ludu uda się odtworzyć. Następnie zespół składający się z młodych artystów ZMP-owców ze wsi Śledziejowice i z młodych artystów robotników z Krakowa. Współpraca na odcinku artystycznym miasta ze wsią, robotnika z chłopem dała w tym wypadku jako wynik prześliczny taniec — oryginalny krakowiak tańczony przy dźwiękach własnej kapeli; zespół wiejski z Radziejowicy, pow. Żywiec, który wystąpił w tańcu i inscenizacji pt. „Mojka” i „Dziad”.

Doliczyć do nich należy zespół koła ZMP przy ZEOK nagrodzony za wykonanie tańca radzieckiego „Trojka”, zespół taneczny z Wolbromia oraz zespoły choralne z Krzeszowic i Rudnika.

W SZUCIE I W ŻYCIU ZWYCIĘŻAJĄ ZDROWE SIŁY

Mał-chłop jest mądry, wie co jest dobre a co złe. Wie, że paskarstwo, pędzenie bimbru — chociaż mogą przynieść doraźną korzyść — są zjawiskami niegodnymi człowieka. Ma zone pyskata, głupia i zachłanna, której boi się i ulega. Ich córka dziewczyna rozsądna ma dwóch starających się o jej rękę — bogatego paskarza żyjącego z oszustwa, z brudnych kombinacji i pracującego chłopca, biednego, ale uczciwego, który zamierza osiedlić się na Ziemiach Odzyskanych i tam rozpocząć nowe życie. Za chłopca uczciwego pragnie wyjść za mąż dziewczyna, jednak boi się matki, która ją zmusza do poślubienia paskarza. Uczciwi jednoczą się, tworzą wspólny front i zwyciężają. Matka ulega — oto treść sztuki „Gospodarz to ja” granej przez wiejski zespół robotniczy

„NIE ŚWIĘCI GARNKI LEPIĄ”

Chłopi w Jasienicy pragną niezależnie się od bogaczy wiejskich w wypożyczaniu maszyn rolniczych i siły pociągowej — zwolali naradę.

— Dość krzywdy i wyzysku, dość wysługiwania się bogaczom — wolałi odważniejsi. Nie mamy maszyn i narzędzi rolniczych, lecz mamy spółdzielnię gminną, której jesteśmy członkami. Niech założą ośrodek maszynowy, uruchomią kuźnię, warsztaty, a wtedy skończy się nasza bieda.

I uradono wysłać do prezesa spółdzielni delegację chłopską. Niech powie, niech przekonają...

— Założcie ośrodek maszynowy, a my wam pomożemy. Damy drzewo, podwozy, robociznę? Damy wszystko, co mamy, byleby móc korzystać z traktorów i narzędzi, móc wyostreć lemiesz do pługa, podkuć konia...

Płynęły miesiące... I oto z rumowiska zaczął powstawać ośrodek maszynowy, budowany z niczego — pracą rąk robotnika i osadnika okolicznych gromad, rozumiejącego, że powstanie ośrodek maszynowego pomoże mu w uprawie roli, zaoszczędzi czasu i pieniędzy.

Rozpoczęła się praca gorączkowa, pełna samozaparcia siły i zapału.

Z okolicznych gromad zaczęły zjeżdżać wozy z drzewem, żwirem i piaskiem. Wiele osadników zapisało sobie wtedy piękną kartę, pracując nieraz całymi dniami, aby tylko przedrzeć, szybko powstał ten nowy ośrodek maszynowy.

Duże zastąpi w uruchomieniu ośrodka położył dzielny kościuszkowiec z pierwszej dywizji, młodość z gromady Dębostrów, Tomasz Glinka, nie mniejsze robotnik ośrodka, Józef Gajda, który wraz z synem wykonał poza godzinami pracy wszystkie roboty malarskie i wiele doraźnych napraw murarskich. Przy budowie pomagał również bezinteresownie Kowal, Józef Przybylak — bezpartyjny — który w godzinach wolnych od pracy pracował z takim zapałem, jakby budował dom dla siebie... W dzień można go było spotkać przy okuwaniu koni rolnikom, a wieczorami wraz z synem przy budowie ośrodka maszynowego.

Pracował tu z iscie chłopskim uporem średniorolny, Stanisław Machula z Warnoleki, który sam zbierał po wsi deski dla ośrodka, wożąc je następnie do odległej o 18 kilometrów Jasienicy.

Pracowali z zapałem traktorzyści: Stanisław Lewandowski i Michał Kosiński, pomagali w pracy junacy „Służba Polsce”, młodzież zetempowska i młodzież szkolna, porządkując dziedziniec z gruzu i śmieci, wożąc deski, cegły i wapno.

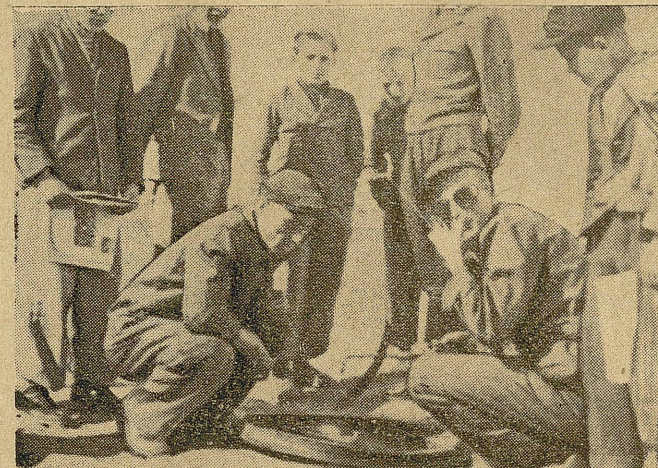
W święto, odremontowanych halach ośrodka maszynowego w Jasienicy stoją rzędem maszyny rolnicze, wymalowane zieloną, czerwoną i żółtą farbą olejną, żywy przykład dobrego pojęcia sojuszu robotnika z chłopem.

Ośrodek pracuje. Pracują traktory na polach chłopskich i maszyn, orząc żyzną i urodzajną ziemię piastowską, aby chleba było coraz więcej.

Ośrodek ten, to chluba i duma osadników jasienickich, warnolekich, niekończyckich, tetyńskich i dębostrawskich, duma ludzi, którzy postawili na swoim, uniezależniając się od spekulantów wiejskich.

Cieszą się chłopci ośrodkiem, jak małym, ukochanym dzieckiem. Nie zapominają też o nim, stale go odwiedzając i wiodąc długie nieraz rozmowy z pracującymi w nim robotnikami. Przecież razem tu pracowali, razem zwolili cegły i drzewo, razem radzili nad jego budową, więc nie dziwnego, że ciągnie ich tutaj, że czują się tu dobrze, jak u siebie.

Już nie ma odlogów na polach jasienickich, a ziemia wszędzie jak okiem sięgnąć, pięknie zoraną aż po mającą w oddali Odrę.



Ekipa robotnicza przy pracy.

MŁODZIEŻ TWORZY NOWĄ KULTURĘ

Obywatel Dziubanowski nie może żyć na swoich trzech morgach. Pracuje jako robotnik drogowy w Piwnicznej. Ob. Dziubanowski ma syna Adasia. Codziennie rano ojciec idzie do pracy na drogę kamienie tuc; taka jest jego praca; praca niemierna ważna od innych a może od wielu zawodów ważniejsza, bo dobrych dróg nam dzisiaj potrzeba jak najwięcej; tacy jak ob. Dziubanowski budują równo, piękne drogi.

Syn jego, Adas wstaje też wcześniej rano; uważa, że do szkoły nie należy się spóźniać. Ale zanim się roztągnie syn ga oju przez chwilę na mandolinie — gra wesoło; potem ta melodia dźwięczy oju przez cały dzień pracy i miesza się z głośnymi uderzeniami młota o kamień; kamień używany na drogi jest twardy, trzeba go mocno bić — nie tylko mocno, ale i umiejętnie — żeby go rozbić na drobne części.

Syn idzie do szkoły. Co pewien czas po południu, Adas ma dodatkowe zajęcie — które wynika z równo z jego zamilowania jak i z obowiązku: z obowiązku dlatego, że Adas jest członkiem koła ZMP. Tym zajęciem są próby muzyczne zespołu mandolinistów ZMP, w skład którego wchodzi Adas jako utalentowany muzyk-mandolinista i gitarzysta.

Adasia Dziubanowskiego, Lebdo-wicza, Zdzisia Lisowskiego i cały zespół instrumentalny ZMP z Piwnicznej z kierownikiem ob. Żytkowiczem mieliśmy okazję widzieć i słyszeć na Festiwalu Wiejskich Zespołów Artystycznych ZMP, który odbył się w Krakowie w dniach 17 i 18 grudnia.

Zespół ten słusznie znalazł się wśród najlepszych zespołów, które jury przeznaczyło na wyjazd do Warszawy. Wśród nich są zespoły:

Zespół taneczny ze szkoły rolniczej z Łososiny Górnej nagrodzony za taniec zbrojnicki, taki ognisty, jaki tylko artystom z ludu uda się odtworzyć. Następnie zespół składający się z młodych artystów ZMP-owców ze wsi Śledziejowice i z młodych artystów robotników z Krakowa. Współpraca na odcinku artystycznym miasta ze wsią, robotnika z chłopem dała w tym wypadku jako wynik prześliczny taniec — oryginalny krakowiak tańczony przy dźwiękach własnej kapeli; zespół wiejski z Radziejowicy, pow. Żywiec, który wystąpił w tańcu i inscenizacji pt. „Mojka” i „Dziad”.

Doliczyć do nich należy zespół koła ZMP przy ZEOK nagrodzony za wykonanie tańca radzieckiego „Trojka”, zespół taneczny z Wolbromia oraz zespoły choralne z Krzeszowic i Rudnika.

W SZUCIE I W ŻYCIU ZWYCIĘŻAJĄ ZDROWE SIŁY

Mał-chłop jest mądry, wie co jest dobre a co złe. Wie, że paskarstwo, pędzenie bimbru — chociaż mogą przynieść doraźną korzyść — są zjawiskami niegodnymi człowieka. Ma zone pyskata, głupia i zachłanna, której boi się i ulega. Ich córka dziewczyna rozsądna ma dwóch starających się o jej rękę — bogatego paskarza żyjącego z oszustwa, z brudnych kombinacji i pracującego chłopca, biednego, ale uczciwego, który zamierza osiedlić się na Ziemiach Odzyskanych i tam rozpocząć nowe życie. Za chłopca uczciwego pragnie wyjść za mąż dziewczyna, jednak boi się matki, która ją zmusza do poślubienia paskarza. Uczciwi jednoczą się, tworzą wspólny front i zwyciężają. Matka ulega — oto treść sztuki „Gospodarz to ja” granej przez wiejski zespół robotniczy

ZMP z kopalni „Zbyszek” w Trzebinie. Zespół ten znalazł się wśród nagrodzonych zespołów dramatycznych występujących w Festiwalu Wiejskich Zespołów Artystycznych ZMP obok zespołu wiejskiego z Kalwarii, który wystawił „Matkę” Gorkiego, dwóch zespołów z Wyszocic nagrodzonych za sztukę „Wesele Jagny” i „Spacer wieśniacy” oraz zespołu z Makowa Podhalanckiego, nagrodzonego za „Jubileusz” Czechowa. Wyszocice — młodzieżowa spółdzielnia produkcyjna wychowująca dzielną młodzież. ZMP-owcy z Wyszocic pokazali, że nie tylko potrafili przodować w walce o przeobrażenie wsi w duchu postępu, nie tylko potrafili torować drogę, postępowej gospodarce rolnej opartej na nowych socjalistycznych zasadach, ale także potrafili być pierwsi w pracy kulturalno-oświatowej i artystycznej. Zespoły Wyszocice i kopalni „Zbyszek” wyjadą również do Warszawy.

Wyszocice i kopalni „Zbyszek” wyjadą również do Warszawy.

Wyszocice i kopalni „Zbyszek” wyjadą również do Warszawy.

Wyszocice i kopalni „Zbyszek” wyjadą również do Warszawy.

Wyszocice i kopalni „Zbyszek” wyjadą również do Warszawy.

Wyszocice i kopalni „Zbyszek” wyjadą również do Warszawy.

Wyszocice i kopalni „Zbyszek” wyjadą również do Warszawy.

Wyszocice i kopalni „Zbyszek” wyjadą również do Warszawy.

Wyszocice i kopalni „Zbyszek” wyjadą również do Warszawy.

Wyszocice i kopalni „Zbyszek” wyjadą również do Warszawy.

Wyszocice i kopalni „Zbyszek” wyjadą również do Warszawy.

Wyszocice i kopalni „Zbyszek” wyjadą również do Warszawy.

Wyszocice i kopalni „Zbyszek” wyjadą również do Warszawy.

Wyszocice i kopalni „Zbyszek” wyjadą również do Warszawy.

Wyszocice i kopalni „Zbyszek” wyjadą również do Warszawy.

Wyszocice i kopalni „Zbyszek” wyjadą również do Warszawy.

Wyszocice i kopalni „Zbyszek” wyjadą również do Warszawy.

Wyszocice i kopalni „Zbyszek” wyjadą również do Warszawy.

Wyszocice i kopalni „Zbyszek” wyjadą również do Warszawy.

Wielką uroczystość przeżywała ostatnio ludność Jasienicy i okolicznych gromad.

Celem uczczenia święta Wielkiej Rewolucji Październikowej Centrala rolnicza spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Szczecinie wezwwała ośrodki maszynowe do zebrania i wyremontowania marnującego się po polach i drogach sprzętu rolniczego, aby w ten sposób przyjąć z pomocą ziemi lubelskiej, odczuwającej brak maszyn rolniczych.

I oto do ośrodka maszynowego w Jasienicy, Dohuch i Poduchach zaczęły napływać wyremontowane ofiarne prace mechaników maszyn, motory spalinowe, żniwiarki, miotkarnie, grabiarki, snopowiązalki, siewniki i kopcarki, aby służyć z pożytkiem małym i średniorolnym braciom z lubelszczyzny.

Na maszynach tych umieszczono tabliczki z wygrawerowanym napisem: „Dar ośrodka maszynowego w Jasienicy”.

Dzień ten, dzień przekazania święto wyremontowanych i pomalowanych maszyn chłopom ziemi lubelskiej, był radosnym wydarzeniem dla mieszkańców Jasienicy i sąsiednich wiosek, świadczącym, że dziś u ujścia Odry buduje nowa, wspaniała Polska chłop i robotnik, których dłoń i serca zjednoczyła jedna, wspólna sprawa — socjalistyczna wieś, łącząca masy ludowe z dwóch odległych krańców Ojczyzny — Pomorza i lubelszczyzny.

Tadeusz Ostrowski

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet.
Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr. 7.
Tel. Red. Nacz. 812-71. Tel. Redakcji 8-00 61 do 6, wewnętrzny 23 i 76.
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAW. - OSW. „C Z Y T E L N I K”
REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA.
Adres Prenumeraty i Ogłoszeń — Warszawa — Plac Trzech Krzyży 16
W a r u n k i p r e n u m e r a t y:
miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480.— zł; rocznie 960.— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa L—6841 z zaznaczeniem „za twg. „Wies”.”
Drukarnia nr 2 Spółd. Wyd.-Osw. „Czytelnik”, Marszałkowska 8/5.
B-103268